

Irena Mrówczyńska

Z Kowla przez Syberię na Dolny Śląsk...

Dorastanie na zsyłce



opracowanie

Marcelina Jakimowicz

Wrocławski Rocznik
Historii Mówionej
Rocznik III, 2013
ISSN 2084-0578

Wstęp

Migracje i przemieszczenia ludności polskiej z byłych wschodnich województw II Rzeczypospolitej sprawiły, że w głębi terytorium Związku Radzieckiego znalazło się wiele dziesiątków tysięcy polskich dzieci. Liczba Polaków i obywateli polskich w ZSRR powiększyła się po napaści Niemiec na Związek Radziecki¹. Na wschód ewakuowano sierocińce i dzieci przebywające na koloniach letnich. W drugiej połowie 1941 r. na obszarach od Archangielska po Zatokę Nachodka, w Ałtajskim Kraju i w radzieckich

¹ Jednym z ważniejszych zadań nowej władzy stało się „przeoranie” nie tylko świadomości, lecz także struktury społecznej ludności. Olbrzymią rolę odgrywał terror, spełniający funkcje represyjno-odwetowe i prewencyjno-zastraszające. Już od września 1939 r. specjalne grupy operacyjne NKWD przygotowały listy z co najmniej 12 tys. osób uznanych za element antyradziecki, kontrrewolucyjny. Oprócz aresztowań istotną metodą represji władz okupacyjnych stały się przymusowe przesiedlenia. Wobec rozlicznych kategorii wrogów ustroju radzieckiego oraz „pracujących miast i wsi”, wobec których przyjęto zasadę odpowiedzialności zbiorowej, znalazła się duża część ludności polskiej. Zob. *Masowe deportacje ludności w Związku Radzieckim*, red. S. Ciesielski, G. Hryciuk, A. Srebrakowski, Toruń 2004, s. 208–209.

republikach Azji Środkowej znalazło się ponad 100 tys. dzieci polskich, wśród nich powiększająca się z biegiem lat na zesłaniu liczba sierot².

Wspomnienia pani Ireny Mrówczyńskiej dotyczą dzieciństwa w przedwojennym Kowlu, zesłaniu dzieci zabranych z kolonii letnich w czerwcu 1941 r., a także życia w powojennym Jaworze, małym miasteczku na Dolnym Śląsku. Dorastanie pani Ireny Mrówczyńskiej przypadło na czas zesłania. Została ona zabrana ze szkoły bez wiedzy rodziców i osadzona wraz z innymi dziećmi w radzieckim dietdomie w Bojarce³, a następnie zesłana do Domu Inwalidów i Sierot Polskich w Bolszaj Konstantynowce⁴, tam spędziła 6 lat. Przypadek zadecydował o tym, że wraz z grupką dzieci udało jej się zgłosić ambasadzie polskiej w Kujbyszewie⁵, iż w Domie Inwalidów i Sierot Polskich znajdują się również dzieci mające rodziców i zabrane z kolonii letnich. W 1946 r. pani Mrówczyńska przedostała się do Polski, gdzie rozpoczęła poszukiwania rodziny. Po jej odnalezieniu osiadła w Jaworze. Relacja zawiera ciekawe wątki odnośnie do kontaktów polsko-niemiecko-rosyjsko-żydowskich w pierwszych powojennych latach, a także organizowania życia kulturalnego w tym czasie. Relacja przedstawia historię zsyłek i późniejszych migracji na teren Dolnego Śląska z perspektywy dziecka, później młodej kobiety. Pokazuje, jak drama-

² Brak pełniejszych danych na temat losu polskich dzieci umieszczonych w radzieckich placówkach opiekuńczo-wychowawczych, tzw. dietdomach. Daniel Boćkowski przyjmuje, że takich dzieci było około 20 tys. Natomiast Piotr Żaroń szacuje ich liczbę na około 40 tys. Większość radzieckich placówek, przyjmując polskie dzieci, traktowała je jako swoich obywateli i nie zgłaszała faktu polskim placówkom odpowiedzialnym za ich wyszukanie. Jako obywatele radzieccy pozbawieni byli oni możliwości kontaktu z ambasadą RP w Kujbyszewie i jej przedstawicielstwem. Pobyt w tzw. dietdomach wiązał się z rychłą rusyfikacją i sowietyzacją młodszych dzieci. Aby przetrwać, musiały one ulec obowiązującym regułom, które zabraniały używania języka polskiego. Ogromny nacisk kładziono na naukę historii, gloryfikując wszystko, co stanowiło osiągnięcia radzieckie, na wszelkie sposoby dezawuowano okres istnienia państwa polskiego. Zob. D. Boćkowski, *Jak piskłęta z gniazd. Dzieci polskie w ZSRR w okresie II wojny światowej*, Wrocław 1995, s. 73–74; D. Boćkowski, *Czas nadziei. Obywatele Rzeczypospolitej Polskiej w ZSRR i opieka nad nimi placówek polskich w latach 1940–1943*, Warszawa 1999, s. 49; P. Żaroń, *Ludność polska w Związku Radzieckim w czasie II wojny światowej*, Warszawa 1990, s. 131.

³ Bojarka – miasto na Ukrainie w obwodzie kijowskim, 28 kilometrów do Kijowa.

⁴ Bolszaj Konstantynowka – Koszkinskij rejon, obw. Kujbyszew, w ZSRR, obw. samarski, Rosja.

⁵ Kujbyszew – miasto w obwodzie samarskim, w Rosji, od 1991 r. nosi nazwę Samara.

tyczne „porwanie ze szkoły” i osadzenie 10-letniego dziecka w radzieckim domu dziecka i sowietyzacja wpłynęły na jej dalsze życie.

Relacja została zebrana w ramach grantu *oral history* Ośrodka Pamięć i Przyszłość, w ramach projektu badawczego pt. Okres zasiedlania ziem Dolnego Śląska w pamięci osób z terenów byłych kresów wschodnich. Narzędziem badawczym był wywiad biograficzny. Autorka opracowania pracuje narzędziami interpretacyjnymi antropologii kulturowej. Transkrypcja relacji pani Mrówczyńskiej została okrojona, poszczególne fragmenty, w miarę możliwości, zostały uporządkowane tak, aby tworzyły chronologiczną całość.

Relacja Ireny Mrówczyńskiej⁶

Ja z panińskiego się nazywałam Irena Sienkiewicz. Urodziłam się w Kowlu⁷ w 1930 roku, na Wołyniu. To miasto było duże, dzieliło się na Stary Kowel i Nowy Kowel⁸ tak, jak dzielnice miasta. Tam chodziłam do szkoły i z tej szkoły mnie zabrano. Pierwsze, co pamiętam z wydarzeń tragicznych, to jak ojca zabrali do wojska, też [pamiętam] naloty, bombowce, gdy wojna się zaczęła w 1939 r.⁹ My w Kowlu nie mieliśmy swojego domu, mieszkaliśmy w wynajętym mieszkaniu. Przed wojną było tak, że bogaci mieli tylko kamienice, a pracownicy to mieli mieszkania wynajęte.



Pierwsze zdjęcie Ireny Mrówczyńskiej na zsyłce, 1941, Kujbyszew, fot. NN, Archiwum OPIP

⁶ AOPiP, akcesja, Relacja Ireny Mrówczyńskiej, sporządzona przez Marcelinę Jakimowicz 4 V 2011 r. Rozmowa z panią Ireną Mrówczyńską została przeprowadzona w jej mieszkaniu w Jaworze. Podstawą rozmowy był wywiad biograficzny oraz seria wcześniej przygotowanych pytań. Jednakże spotkanie w części miało nieformalny, swobodny charakter rozmowy. Spotkanie podzielone było na kilka części, rozłożonych na kilka dni, całość nagrania to około 5 godzin. Relacja jest chaotyczna, często rwana, pomieszana chronologicznie. Fragmenty relacji, o ile było to możliwe, zostały umieszczone w tekście tak, aby tworzyły całość pod względem chronologicznym. Jednak bardzo często w jednym fragmencie relacji mieszają się opowieści z różnych okresów, na zasadzie retrospekcji. Relacja została skrócona.

⁷ Kowel – w latach 1921–1939 stolica powiatu. Między wrześniem 1939 a czerwcem 1941 pod okupacją sowiecką, następnie pod okupacją niemiecką, ponownie zajęty przez Armię Czerwoną w lipcu 1944. W latach 1945–1991 w Ukraińskiej SRR. Od 1991 należy do Ukrainy.

⁸ W latach 1926–1939 w Kowlu powstało duże przedmieście zwane Drugim bądź Nowym Kowlem. Zamieszkane przeważnie przez kolejarzy. Zob. E. Rachwałski, *Kowel. Przewodnik historyczny*, Wrocław 2004.

⁹ Od początku wojny niemieckie naloty na miasto, od 20 IX 1939 r. miasto pod okupacją sowiecką.

Chodziliśmy do przedszkola, do szkoły, na kolonie jeździliśmy, bo tam było blisko wszędzie. To jedni jeździli do Sarnów¹⁰, drudzy jeździli do Łucka¹¹. Pamiętam, jak byłam mała, jak Piłsudski zmarł w 1935 r. Nam wtedy kazali takie czapki nosić z zakrytym czarną wstążką orłem, to zapamiętałam. A tak to się uczyło, były dzieci w polskiej szkole, same dziewczynki albo klasy samych chłopców. Nie było tak, żeby wszyscy razem [się uczyli]. Były też prywatne szkoły dla dzieci ludzi bardzo bogatych: sklepikarzy, nie sklepikarzy, tych co mieli fabryki. Nie każde dziecko mogło się tam dostać. U mnie w klasie były różne dzieci. Ja się wtedy akurat nie interesowałam, tylko wiem, że dużo dzieci policjantów, urzędników, wojskowych ze mną chodziło do klasy. To była szkoła im. Piłsudskiego¹², tak się nazywała. Ja tam byłam 4 lata w tej szkole. W klasie koło 30 osób. Duże klasy, tam ze wsi niektórzy gospodarze swoje dzieci przywozili też do miasta [do szkoły]. Jak poszłam do szkoły to 6 lat miałam i 4 lata się uczyłam. 10 lat miałam, kiedy nas wywieźli. Zabrali nas, to co ja mogłam pamiętać, człowiek się nie interesował, nic nie wiedział.

Obok nas w Kowlu mieszkali Ukraińcy, ale to byli koleżanki i koledzy, myśmy się zjednali, nie było tak, żeby było wrogo¹³. Ja nie pamiętam, żeby między sąsiadami były jakieś kłótnie. W jednym korytarzu mieszkał Żyd, w drugim korytarzu mieszkał Ukrainiec, w trzecim Polak, w jednym budynku różni [ludzie] mieszkali. A zresztą, co ja pamiętam? Ja nawet nie wiedziałam, co to znaczy Ukrainiec, Ukrainka! Koleżanka siedziała dwa stoliki dalej. Ale nie było, żeby była taka wrogość, jak teraz jest. Nie było tak: „O to Ukrainka!”. Ludzie byli zżyci ze sobą, jak to sąsiedzi. Najgorzej było

¹⁰ Sarny – miasto w zachodniej części Ukrainy, w obwodzie rówieńskim.

¹¹ Łuck – miasto nad Styrem na Ukrainie, stolica obwodu wołyńskiego, siedziba rejonu łuckiego, do 1945 r. w Polsce, stolica województwa wołyńskiego, siedziba powiatu łuckiego.

¹² Prawdopodobnie żeńska szkoła nr 2 im. J. Piłsudskiego bądź szkoła nr 4 im. Mościckiego, która znajdowała się przy ul. Łuckiej.

¹³ Na podstawie danych władz administracyjnych – spisu narodowości na podstawie języka ojczystego z 1936 r. w mieście Kowlu mieszkało 31 935 mieszkańców posługujących się kolejno językami: 45% żydowskim (jidysz, hebrajski), 37% polskim, 11% ukraińskim, 7% rosyjskim. Zob. E. Rachwański, *Kowel. Przewodnik historyczny*, Wrocław 2004, s. 183.

na wsiach, w czasie wojny, bo tam się różni Polacy i partyzantka¹⁴. Tam byli Ukraińcy bezrozumni tacy, jak [to] się mówiło. A tak to nie było [wrogości] u nas przed wojną. Byliśmy wszyscy razem, mieszkaliśmy razem, różne narodowości. Tylko [raz] pamiętam, jak byłam mała, to mnie napuścili chłopcy, bo nie wiedziałam, że to złe będzie. I koledzy robili, takie jak teraz robią w Ameryce, dynie z oczami. Tam w środek dawali świeczkę i chodziliśmy straszyć Żydów pod oknem. Oni się bardzo bali tego. Jak mieszkała Żydówka, [to] na przykład mówiła mi mama, że nie wolno tam chodzić. Oni kazali dzieciom nieraz zapalić zapałkę czy świecę zapalić w sobotę, wtedy im nie wolno było nic robić¹⁵. Mama się bała o nas i mówiła: „Możecie się bawić z dziećmi na podwórku, ale do domu żebyście nie chodzili”. Nie mówiła dłużej. Mówiła: „Nie chodźcie tam, bo oni mają swoje obyczaje, nie trzeba im przeszkadzać”. Tylko tyle wiedziałam. Starsi gotowali im obiady zawsze, pomagali. Rodzice mówili, żeby tylko dzieci nie wchodziły do domu. Później opowiadali, może to [zdarzało się] na wsiach, jak to Żydzi dzieci brali do beczki, robili krew i pili tę krew¹⁶. Może straszili [tak] dzieci i to się rozchodziło po mieście. Żydom było ciężko, a ci gówniarze z tymi pejsami

¹⁴ Autorka mówi o napadach Ukraińskiej Powstańczej Armii na ludność polską, które miały miejsce na terenie powiatu kowelskiego od sierpnia 1943 r. do 1945 r. W tym czasie autorka była na zsyłce. Zob. W. Rezmer, *Przyczyny i tło konfliktu polsko-ukraińskiego w latach 1939–1947*, [w:] *Wołyń 1943 – Rozliczenie, materiały przeglądowej konferencji naukowej w 65. rocznicę eksterminacji ludności polskiej na Kresach Wschodnich dokonanej przez nacjonalistów ukraińskich*, red. R. Niedzielko, Warszawa 2010, s. 11; G. Motyka, *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła”. Konflikt polsko-ukraiński 1943–1947*, Kraków 2011.

¹⁵ Autorce chodzi o szabas, siódmy dzień tygodnia i dzieła stworzenia świata w judaizmie. Por. *Nowy leksykon judaistyczny*, red. J.H. Schoeps, Warszawa 2007, s. 800.

¹⁶ Prawdopodobnie chodzi o popularne w czasie międzywojennym „legendy o krwi” – opowieści ludowe, które są rozpowszechnione na terenie Europy od XIII wieku szczególnie na wsiach i w małych miastach. Opowieść dotyczy posądzania Żydów o zabójstwo będące elementem religijnego rytuału. W wierzeniu krew chrześcijańskiego dziecka potrzebna jest Żydom do rytualnych obrzędów podczas wypiekania macy. Joanna Tokarska-Bakir analizuje dawne teksty o zamęczeniu dziecka lub hostii przez Żydów, przy czym udowadnia, że oba oskarżenia, choć pojawiły się w różnym czasie, tak naprawdę są różnymi wersjami tej samej narracji, wywiedzionej z tej samej symboliki. „Legendy o krwi” omawia, posługując się schematem „bajki magicznej” Władimira Proppa, by w końcu pokazać, jak te opowieści przeradzały się w przemoc wobec Żydów. Zob. J. Tokarska-Bakir, *Legendy o krwi. Antropologia przesądu*, Warszawa 2008.

to dopiero mieli... U nas w szkole mieli te mycki takie i pejsy. Inne chłopaki dokuczali, ale nie tak, żeby złośliwie, tylko jak to dzieci: „Ty Icek” i za włosy go. A tak to było bezpiecznie. Bo [w Kowlu] było wojsko, tam była tak zwana górka wojskowa¹⁷. Bo tam całe wojsko [stacjonowało], były pochody różne, na 3 Maja, to było bardzo [ładnie] wszędzie, a już na polityce [ja] nie znałam się, nie rozumiałam [jej]¹⁸.

Ojciec był w wojsku, pracował w takiej wojskowej części, a myśmy mieszkali w mieście. [Ojciec] przyszedł, to było w 1939 r., przyszedł z pracy i mówi do dzieci: „Teraz ja muszę jechać”. A ja mówię: „Tatus, a gdzie ty pojedziesz?” „No będziemy teraz się bić, będzie wojna”. Myśmy strasznie płakali z mamą i z siostrą, to była tragedia dla nas. Nie wiedziałyśmy, co to dla nas znaczy – wojna, człowiek nie wiedział. Widzę mama płacze, wszyscy płaczą, ojciec podenerwowany, to i ja płakałam. Musiał iść na wojnę i w 1939 r. poszedł do wojska, na front, a później dostał się do niewoli niemieckiej i później uciekł z niewoli, przyjechał do domu, do mamy, ale już mnie nie było i popędził szukać mnie. Mama powiedziała [jemu], że zabrali mnie na kolonie gdzieś, nie wiadomo gdzie, zabrali powiedzieli, że przyjedzie za miesiąc.

Gdy miałam 10 lat, byłam wywieziona. To było 21 czerwca 1941 r.¹⁹, przyszli do nas do szkoły, ja wtedy byłam w 4 klasie. Przyszli do nas ru-

¹⁷ Górka wojskowa – popularna nazwa osiedla, w obrębie którego zostały zbudowane koszary. Tak nazywano w Kowlu wzniesienie, na którym znajdowało się dowództwo dywizji wraz ze sztabem. W Kowlu w tym miejscu znajdowało się dowództwo 27 Dywizji Piechoty oraz wchodzący w jej skład 50 Pułk Piechoty Strzelców Kresowych im. Płk. Francesco Nullo. Zob. E. Rachwański, *op. cit.*, s. 72.

¹⁸ Po nabożeństwie 3 Maja odbywała się defilada na ul. Łuckiej i Warszawskiej, w której oprócz garnizonu brały udział także organizacje kombatanckie, sportowe, społeczne. Na koniec odprowadzano wojsko do koszar na tzw. Górkę. Zob. *ibidem*, s. 130–131.

¹⁹ Po zajęciu wschodnich terenów II Rzeczypospolitej sowieckie władze okupacyjne na szeroką skalę zastosowały represje przeciwko potencjalnym wrogom nowego ustroju, oprócz aresztowań były to także wywózki na głębiej położone tereny ZSRR, szacuje się, że od września 1939 do czerwca 1941 r. zostało wywiezionych 62,5 tys. osób, w tym ok. 40% stanowili Polacy. Zob. G. Hryciuk, *Polacy, [w:] Wysziedlenia, wypędzenia, ucieczki 1939–1959. Atlas ziem Polski*, red. W. Sienkiewicz, G. Hryciuk, Warszawa 2008, s. 37. Wywózka polskich dzieci z kolonii letnich miała miejsce 21–23 czerwca 1941 r. Kolonie miały za zadanie wychowanie dzieci na wzór szkół pionierskich. Dzieci nie zostały w większości zwrócone rodzinom i bezprawnie wywiezione w głąb ZSRR, umieszczono je w radzieckich domach dziecka. Zob. D. Boćkowski, *Jak piskłeta z gniazd...*, s. 40.

skie żołdacy, jak to my mówili na [tych] wojskowych. Popatrzyli, przeszli po wszystkich [klasach] i mieli listę widocznie. Nie wiem tego dokładnie, i tak powiedzieli: „Ty, ty, ty”. Przyjechali do szkoły z listą i na liście mieli, czyj ojciec [jest] policjantem, czyj wojskowym, ten taki, ten siaki. Przed wszystkim [na listach mieli dzieci] takich różnych [ludzi] na stanowiskach, a później tych, co bogacze byli. [Żołnierze] na nas mówili: „dzieci burżu”. I tak pozabierali nas, nie wiem, ile dzieci poszło, było nas dużo, ale nie liczyłam, bo byłam wystraszona. Przyszli po nas, nie pytali, tylko powiedzieli nauczycielce coś. Kazali nam wszystkim wyjść na korytarz, a później pójść [tam, gdzie] samochód stał taki ciężarowy, towarowy, jak mówili gruzowik. I kazali dzieciom wsiadać, nie pytaliśmy się. Bo to każde dziecko było wystraszone, nie wiadomo, gdzie jedziemy, co i jak. Trzymali nas długo, myśmy nie wiedzieli nic, a później nie było mowy, żeby można było uciec.

Nie wiedziałam, o co chodzi. I do samochodu nas [wsadzili]. Pojechaliśmy. Zawieźli nas do lasu na Ukrainie. To była miejscowość Bojarka²⁰, tak się wioska nazywała. To w lesie było, za wsią. I był tam taki dom, niby dla dzieci, ale takich zbieranych ze wszystkich państw. Bo tam byli: Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Rosjanie. Ale nas było wtedy dużo, już pobierali [dzieci], bo ten transport, co ja nim jechałam, to nie dużo było [w nim] dzieci. Z każdego miasta [były dzieci], to było z: Wołynia, Kowla, Łucka, Włodzimierza Wołyńskiego. Po kolei, tak jak jechaliśmy, to [po drodze] zabierali te dzieci ze szkoły. A później już dalej na Syberię [wieźli], to już były dzieci różne i ruskie nawet były. Ja nie znałam się wtedy na polityce, ale teraz tak myślę, że ci starsi [zesłańcy], to mieli może łatwiej, byli wywiezieni [byli] całymi rodzinami, a ja byłam sama bez rodziców.

Później jak nas przywieźli do Rosji, koło Kujbyszewa [Bolszaja Konstantinowka]²¹. W 1941 r. nas zabrali do dietdomu i musiałam chodzić [do szkoły] nie było tak, że tam możesz [nie chodzić do szkoły]. Od 4 klasy zaczęłam się [w Rosji] uczyć, to było w 1942 r., już byłam w Rosji, tam właśnie

²⁰ Por. przyp. 3.

²¹ W późniejszej części rozmowy autorka określa miejsce zsyłki dokładniej. W Bolszoi Konstantinowce powstał Polski Dom Inwalidów i Sierot zorganizowany na polecenie polskiej ambasady w Kujbyszewie przez Stanisława Borkowskiego, który był jego kierownikiem do aresztowania na początku 1943 r. Na terenie wsi był kolchoz im. Klary Zetkin, w którym pracowały także polskie dzieci. Zob. http://www.xxwiek.pl/dzien/1945-06-29/Polscy_zeslancy_w_ZSRR/m20493, [dostęp: 28 XII 2012 r.]

w tym domu [dziecka]. W międzyczasie szukałam mojej mamy, bo nie wiedziałam, gdzie jest. Nie wiedziałam, jak ją znaleźć, ale ludzie mi pomagali. Ci starsi, bo tam było dużo nauczycielek polskich i trochę pomagały dzieciom. Nam kazał taki dyrektor ruski, dobry człowiek, on nam powiedział, że musimy dostać zezwolenie z Moskwy, żeby wrócić, bo tak żądali od tych wszystkich ludzi polskich dokumentów, no tak jak dowód²². No skąd ja miałam mieć papiery? Więc napisaliśmy do Wandy Wasilewskiej²³, nic nie przyszło. Później napisaliśmy do [Wieczysława] Mołotowa²⁴ i Mołotow powiedział: „Zabrać dzieci”. Ale jak zabrać? Kto? Co? Wszystkich by wzięli, całe te towarzystwo wzięli, do wagonów powsadzali tam hen na Syberię bardzo daleko, niektórych tam aż na Kamczatkę wzięli.

Jeszcze jak była wojna, jak z mamą byłam to ważyłam 35 kilo[gramów] dlatego, że matka jeszcze mogła tam jakiś klusek ugotować, ale później tam na Syberii to nie było co jeść. Myśmy ziemniaki wykopywali zmarznięte, wykopywali wszystko, różne świństwa jedliśmy, ale jak gdzieś były jakieś ogródki wszystko się zjadło: surowe pomidory, nie pomidory, ogórki czy jakąś marchewkę, a najwięcej to jedliśmy kapusty. To kołchoz był, ale ludzie tam na wsi mieli ogródki przydomowe. To się szło, jak człowiek głodny był. Idzie się, patrzy... marchewka rośnie, szybciotko zjadło się i nikt nie widział. Słoneczniki na przykład wielkie [były]. Jak poszliśmy w słoneczniki i bluzeczki takie mieliśmy białe, to się nasypało tego słonecznika pełno tak [w bluzki], że jak się wychodziło [z pola], to jakby się było w ciąży. Przychodziliśmy, siadaliśmy na podłodze, każdy nasypywał [co zebrał]. Nawet ci, co nie byli [na polu], to jedli. Wszyscy razem musieliśmy jeść. I słoneczniki, arbuzy, różnie, co się złapało.

²² W czasie organizowania Armii Polskiej w ZSRR, pod dowództwem generała Władysława Andersa, ogłoszono amnestię umożliwiającą opuszczenie miejsca zesłania przez ludność polską. Do Armii Polskiej zgłaszali się nie tylko mężczyźni, lecz także kobiety i dzieci. Mimo podpisanych umów, wielu Polaków nadal więziono. Władze częstokroć fałszowały i utajniały dane na temat przetrzymywania Polaków. Zob. M. Stopikowska, *Wychowanie Polaków na zesłaniu w ZSRR*, Lublin 2001, s. 87.

²³ Wanda Wasilewska (1905–1964) – polska i sowiecka działaczka komunistyczna, literatka i pisarka, założycielka Związku Patriotów Polskich w ZSRR, pułkownik Głównego Zarządu Politycznego Armii Czerwonej, od VII do IX wiceprzewodnicząca PKWN. Współtworzyła polskie wojsko przy Armii Czerwonej. Po wojnie pozostała na terenie ZSRR.

²⁴ Wiaczesław Mołotow (1890–1986) – rosyjski działacz komunistyczny, minister spraw zagranicznych ZSRR w latach 1939–1949; 1953–1956.



Irena Mrówczyńska w pierwszym roku po wywóźce – tzw. dietdom Bolszaja Konstantinowka 1941 rok, fot. NN, Archiwum Ośrodka Pamięć i Przyszłość

Dla nas to było coś, bo myśmy kradli w kołchozie, co się dało i musieliśmy się tym wyżywić, czy groch, czy marchewka. A jak nie było co [zjeść], to z obierków robiło się placki. Na cegłę dwa kawałeczki drzewa, [na tym] podsmażaliśmy takie placki, ale to było takie bardzo niebezpieczne, przez to dzieci bardzo dużo chorowało. Zbieraliśmy kłoski też w polu. Na przykład ja pracowałam w polu²⁵, bo myśmy pomagali przy żniwach, przy pieleniu zboża, bo były te kąkole, bławatki, to trzeba było wyciągać [odchwaszczać]. A między innymi jeszcze pracowałam w nocy. Pasłam konie i krowy, bo były w kołchozie, bo to była praca kołchozowa, nie nasza²⁶. U ruskich kołchoz był i tam w tym kołchozie było dużo polskich ludzi, ruskich i właśnie ta pani, nasza pielęgniarka, ona pracowała tam i ona nas zobaczyła [przy pracy]. Nie wiem, dlaczego do mnie miała bardzo wielką sympatię, ja byłam bardzo chuda, ja byłam tak okropnie chuda, że ważyłam 30 kilo[gramów]. Ona wyszła za jednego z chłopaków naszych [polskich] i później miała

²⁵ Od 12. roku życia dzieci podlegały karnym, normalnym przymusom pracy, najmłodszy zbierali mech, grabili trawę, palili gałęzie, następnie z wiekiem „awansowali” do cięższych prac. Zob. http://www.sybiracy.koszalin.pl/images/Jadwiga_Dudzinska.pdf [dostęp: 8 XII 2012 r.].

²⁶ Praca nienależąca do obowiązków w dietdomach. W celu zdobycia pieniędzy bądź racji żywności dzieci zmuszone były pracować, mimo iż poniżej 12 lat nie było takiego przymusu. Jednak praca dawała możliwość zdobycia żywności.

[z nim] dziecko i przyszła po mnie. Z tego kołchozu przynosiła dla swojego dzieciaka mleko, to zawsze coś tam [mi też] przynosiła. Dzięki niej trochę się trzymałam, później oni wyjechali gdzieś. Ona pracowała, a ja jej dziecko pilnowałam. Ona [za to] mnie leczyła, bo ja byłam bardzo chora. W Rosji to przeszłam tyfus, malarię. A ona powiedziała: „Przyjdź do mnie, będziesz bawiła mi dziecko, to ja ci dam z kołchozu te lepsze mleko”. Ona była bardzo dobra kobieta, wyszła za Polaka i miała dziecko. I dlatego ja się zgodziłam. [Myślałam]: „To mały Polak będzie. Będziemy go uczyć po polsku”. Do tego dziecka mówiłam po polsku. Ona pracowała w kołchozie jako pielęgniarka. On w domu dziecka pracował, gdzieś tam się spotkali i trafiło im się. Ona później tak mi dziękowała, [pytała czy] może ja zostaną u niej. Ja mówię: „Nie, ja jadę do mamy, ja nie chcę, nie chcę żadnych skarbów”. Ale była mądra kobieta, skończyła medycynę w Moskwie.

Różnicy w traktowaniu dzieci się nie czuło, dziecko było jednakowe. Nie było między nami konfliktów. Dzieci nie rozumieją, co to znaczy rasizm. Każda z dziewczynek [była równa], wszystko siedziało razem, bawiliśmy się [razem]. Jedne starsze, drugie młodsze, ale razem. A w szkole dzieci różne były: Ruscy, Ukraińcy, Czuwasze, Tatarzy, bo to była republika. Myśmy Polacy się bardzo dobrze uczyli, [nauczyciele] tak zawsze nas jako wzór [stawiali]. Gdy były gdzieś jakieś akademie, wszędzie Polacy śpiewali, Polki tańczyły. Z całej Polski ludzie byli i nie wszyscy byli młodzi, zdrowi. Nas uczyli wierszy, o pisarzach rosyjskich mówili, też dawali książki [na przykład] Tołstoja, bo w Rosji trzeba było czytać, znać literaturę, historię, rewolucję, Stalina, Lenina. Myśmy piórami pisali, nie było długopisów ani ołówków. Od razu przejść z polskiego na rosyjski było ciężko, to trzeba było wiedzieć, kiedy miękki znak, to trzeba było się dobrze uczyć, żeby umieć po rosyjsku pisać, ale jakoś tam sobie poradziłam. Tam z nami starsi ludzie byli. Biedni ci ludzie, bez nóg, bez rąk, poodmrażane. Żydzi byli też. Bardzo dużo było Żydów [było], bo uciekali do ruskich przed Niemcami. Uciekali strasznie, niektórzy mieli dobre posady, nawet tam w Rosji.

Ja do dzisiaj pamiętam wiersz Niekrasowa, taki „Plakała Saša, kak les vyrubali”²⁷, ten wiersz tak mi został w głowie... Jak zaraz mam dzień zły, to mi się milej robi, jak ten wiersz sobie przypomnę, choć już zapomniałam dużo. Boże przecież ja się tego wszystkiego uczyłam i tego nie pamiętam. Uczyłam się polskich wierszy, a ten ruski wiersz mnie siedzi w głowie. Był

²⁷ Nikołaj Aleksiejewicz Niekrasow, „Sasza”.

taki rzewny, bo to dziecko płakało, że las wyrąbali, bo „Plakala Saša, kak les vyrubali, ej i tepep' žal'ko do slěz”. [To] znaczy ja ruski bardzo lubię słuchać piosenek na tych wszystkich akademiach. Tym żyliśmy, ja wiedziałam, że my żyjemy, bo myśmy uczyli się tańca rosyjskiego, kultury rosyjskiej, śpiewu, historii tych pisarzy, a jednak było czego się uczyć. Mam czasem tak, że wspominam to, bo to mi zostało w pamięci. Jednak ta kultura wchodzi do głowy. Chociaż my nie chcieliśmy się rosyjskiego uczyć, ale pokazaliśmy, że potrafimy, bo właśnie panie takie starsze mówiły [nam]: „Macie pokazać, że jesteście z Polski i wszystko umiecie, musicie pokazać swoją hardą duszę”. Rosjanki to się cieszyły, że Polaczki to *horošye devuški*, [myśmy] grali i śpiewali. Później oni myśleli, że nas zatrzymają, chcieli nas zatrzymać [w Rosji]. Później do szkoły chcieli nas dać: „Będziesz się uczyć, będziesz występowała w Moskwie, w balecie”, tak tumanili. Ja powiedziałam: „Ja chcę do mamy, do mamy”. Ale kazali [ci starsi Polacy] nam się uczyć: „Pomimo, że ruskie ale trzeba się uczyć, bo jeżeli nie będziesz się uczyła, to nigdy nie będziesz nic wiedziała”. Po rusku historia, po rusku geografia, wszystko trzeba było po rusku, ale te panie nas uczyły po polsku, a że był Kościuszko i całą historię Polski tam gdzieś nam zakodowały. Gdy ja przyjechałam [do Jawora], to ja byłam z ruskiego najlepsza, a z polskiego to trzeba było kuć do północy.



Dzieci z Domu Inwalidów i Sierot Polskich w Bolszoi Konstantinowce, pani Irena w pierwszym rzędzie, pierwsza od prawej strony, 18.05.1944, Kujbyszew, fot. NN, Archiwum Ośrodka Pamięć i Przyszłość.

Starsze dziewczynki to później zabrali jeszcze do fabryki, do czyszczenia naboji, pocisków, ale ja mała byłam dziewczyneczka. Myślę, że jak dzieci tam [na Syberii] mieli matki, to było im lepiej. Szło takie dziecko do domu najadło się bez różnicy, a my musieliśmy sobie zarobić, przecież ja siedziałam po nocach i robiłam skarpety. Bo był tam gorący piasek, oni nie mieli butów, a w walonkach za gorąco, więc chodzili w tych skarpetach. Myśmy sobie zarabiali tą robotą, chustki różne robiliśmy. Zarabialiśmy tak, że jedna kobieta za to da trochę mleka, druga co innego. Oni robili takie mleko w takich piecach chlebowych, zsiadłe mleko też dawali za te skarpety. Przyszło się, dało się te skarpety to [mówili]: „*sadites*”, bo my dzieci głodne. To różne nacje na tej wsi: Czuwasze²⁸, Tatarzy²⁹, Mordwini³⁰, Rusczy to byli, Polacy plus inne narodowości. Tam nie było antagonizmów, raczej ludzie byli tacy pospoliccy. Nie było co jeść, to nam makuchy dawały. Makucha to jest mak wyciśnięty, to oni dawali mak na olej a zostawała [z tego] taka masa. Takie jakby wytloki robili, dodawali do tego tłuszcz albo coś i to te krążki dawali nam jeść, a to ponieważ było z maku, to nam dawali też to mleko [co zostawało]. Dawali nieraz ziemniaków parę, zawsze coś dawali. „Ona jest głodna”. „No to masz, *pokušaj*”. Ludzie byli dobrzy dla nas. A jak były święta, a nie było księdza, był tylko pop. Tam też byli Ukraińcy i właśnie z tych wysłanych na Syberię był pop. Na święta chodzili kraść chłopaki: owce, barany jakieś, co się dało w tym kołchozie. Zabili na cmentarzu, upiekli na grobach, jak przypomnę sobie. Upiekli i przynieśli na stół, wszyscy siedliśmy. Nie było wyjątków czy ta, czy tamta. Na polu jak się kradło coś, to tak się nasypało tu za koszulkę, i tak się trzymało, żeby nikt nie widział. Dopiero jak się przyszło do sali, a nas było kilkanaście dziewczyn w jednej sali, to się siadało i wszyscy musieliśmy jeść z jednej kadzi. Jak się poszło do ruskich to też się ukradło, bo to człowiek był głodny i musiał coś kombinować, a uczyli przecież starsi, bo to człowiek nie wiedział. Mówili: „Idź tam w pole narwij”. I człowiek tak jakoś nie jadł dużo, nie jadłam przez 7 lat, nie wiedziałam co to znaczy jabłko, bo tam był mróz, 60-stopniowy, to chodziliśmy tak, że tylko nos było widać, a tu wszystko śniegiem obłożone, do

²⁸ Czuwasze – autochtoni, lud zamieszkujący Czuwaską Republikę Autonomiczną, poza tym tereny Tatarstanu i Baszkirii.

²⁹ Tatarzy – grupa ludów tureckich z Europy Środkowej i Wschodniej oraz centralnej Azji, zamieszkują głównie tereny byłego ZSRR.

³⁰ Mordwini – jeden z nadwołżańskich ludów ugrofińskich, zamieszkują głównie Mordwę (republikę), lud autochtoniczny.

stóp. Zupa była taka – talerz wody i łyżka fasoli, ale dla dziecka to było za mało. [Tam] nie widziałam tłuszczu, nie widziałam słoniny, nie widziałam mięsa, cukru, a chleb to był taki jak cegła, taki chlebek z prosa, nie trzymał się, [ale] on się sypał jak kasza. Nie można było tego jeść, ale ci starsi ludzie byli jeszcze gorzej głodni jak my.

Miejscowi mieli takie różne zabobony, tam w tych wsiach różnych. Na przykład Czuwaszka – ona była chora i miała tę jaglicę, chorobę oczu. Brała małego dzieciaczka, co dopiero się urodziło i temu dziecku smarowała oczy, żeby ono też miało chorobę, żeby było takie jak ona. Bo to jest jakiś tam zabobon, czy może to chodzi o religię? Nie wiem. Tatarów tam trochę było, bo to była wieś, zbiorowisko wszystkich. Tam kiedyś chyba też ludzi ruskich wysyłali. A później znaleźli się [tam] Polacy – dzieci z rodzicami i nasze biedne dzieciaki z domu dziecka. Także było bez różnicy, kto skąd pochodzi, tylko nas bardzo nie lubiła pani dyrektor szkoły. Oni chcieli, żeby tam powstała kultura, bo to było zabite deskami, nic świata nie widzieli. Oni smarowali te oczy, myśmy się tak bali. Ale później nawiązaliśmy z nimi kontakty i jedna właśnie z tych dziewczyn, Gala. Ona była córką dyrektorki szkoły i właśnie ta dyrektorka wysłała tej Marysi ojca, dyrektora naszego domu Inwalidów na zesłanie³¹.

Chociaż dyrektor z kołchozu się nami trochę opiekował. Tam nie można było nic dostać. Nie było cukru, ale on bardzo szanował dzieci: „Starszy to musi sobie jakoś poradzić, ale dziecku – trzeba dać”. Także myśmy nie mieli złości do ruskich, to znaczy nas nigdy nie nastawiał [na nich] nikt [źle]. Tylko nie trzeba było brać żadnych papierów i dowodów ruskich: „Nie bierzcie papierów, dzieciaki nie bierzcie, bo was później nie wypuszczą. Uczcie się, bo to się w życiu później wszystko przyda”³².

Uciekaliśmy też z tych robót nie raz, to też mówili nam [starsi]: „A [co] będziecie dla ruskich robić! Idźcie sobie w las”. A jak jeździliśmy po drzewo, dwoje, troje dzieci. Woła trzymał jeden i szedł za nim. A komary, muszki były! Przez nie panowała malaria. Później w szpitalu to wszystko leżało. Dziećmi zajmowali się, nie mogę powiedzieć. Dziećmi o tyle, o ile można

³¹ Por. przyp. 46.

³² W marcu 1943 r. NKWD przeprowadzało po raz kolejny przymusową paszportyzację, unieważniając wcześniej wydane zaświadczenia o obywatelstwie polskim. Akcja ta objęła wszystkie rejony ZSRR i przebiegała z bezwzględnością. Sprzeciwienie się władzy powodowało aresztowania, osadzenie w więzieniu lub łagrze. Zob. D. Boćkowski, *Jak piskłeta z gniazd...*, s. 89.

było żądać od tych ludzi, to się zajmowali. Przecież nie znała mnie taka kobieta, ale coś miała, jakieś matczyne serce, że widziała, że dziecko zostało same. Nie ma ratunku i, że trzeba pomóc. Są ruscy dobrzy i są, przeważnie to żołdacy, tacy nieciekawi. Mogli zabić człowieka, jak złapali na kradzieży, tam nie wolno było kraść³³.

W szkole śpiewaliśmy, a potem człowiek musiał się z ludźmi dogadywać, to trzeba było się uczyć języka. To mówiła jedna koleżanka po ukraińsku: „Powiedz jak to się nazywa, jak to się mówi?”. To powiedzieli, a później śpiewali. Jak się uczyć? Tylko piosenką. O kozakach... Dzieci szybko przyjmują [język], uczyliśmy się ukraińskiego, w szkole nas trochę uczyli ukraińskiego, rosyjskiego, ale po polsku nas nie uczyli, a ze sobą dzieci jak dzieci. Jak dyrektor był jeszcze [z nami], to nam mówił: „Nie mówić po rusku” a tamta dyrektorka ze szkoły „*govorit' po-russkij, govorit'*”. Bo oni nie rozumieli, oni się bali nawet nas, bo byli tacy chłopcy po 17, po 18 lat to poszło wszystko na Lenino. Tam wszyscy zginęli, to robili strajki, nie chcieli jeść, dlatego ich zamykali, później nie chcieli oddawać paszportów. Nie chcieli oddać paszportów ci, co mieli polskie jeszcze dowody. Oni tak mówili, żeby dawać paszporty, a jak nie oddawali to zamykali ich. Myśmy im zbierali chleb, suszyli i do więzienia nosili, żeby mieli co jeść. Później wzięli ich na front z Pierwszą Armią³⁴ i tam wszystko poginęło.

Było niewesoło, ale dziecko przyjmuje wszystko inaczej niż dorosły człowiek, teraz to człowiek zdaje sobie sprawę [z tego], jak było ciężko: „O ja nie mam co jeść, daj kawałeczek, a ja mam coś innego”. I tak się zamieniali, ten dał cukierka, ten dał coś innego, gdzieś tam marchewkę złapał. Dzielili się dzieci bardzo. Gdy były żniwa, poszły nabrali tam te snopki. Wrzucało się do maszyn, to przynosiło się ziarenka w majtkach, a później się smażyło placki na ceglach, brali żelazne takie płytki i na tym się podsmażało. Tak

³³ Wszyscy nieletni zesłańcy podlegali radzieckiemu kodeksowi karnemu. Osoby niepełnoletnie, które przekroczyły 12. rok życia za dokonane wykroczenie podlegały pełnej odpowiedzialności karno-sądowej. Oznaczało to w praktyce stosowanie kar od pozbawienia wolności w obozach przymusowej pracy, które nie różniły się znacznie od podobnych obozów dla dorosłych, aż do kary śmierci. Zob. *ibidem*, s. 50.

³⁴ 1 Armia Wojska Polskiego utworzona 29 lipca 1944 r. W jej skład weszła 1 Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, która w 1943 r. uczestniczyła w bitwie pod Lenino. Była częścią Wojska Polskiego sformowanego przy Armii Czerwonej. Szlak bojowy zakończyła w maju 1945 r. wyjściem na brzeg Łaby i szturmem części swoich oddziałów na Berlin.

gdzieś [mniej więcej] wszyscy byli w szkolnym wieku. Przeważnie byli tak między 3., 4. rokiem a 20., niektóre [dzieci] tam się porodziły. Rosjanki za Polaków wychodziły.

Tubylcy dzieciom krzywdy nie robili. Jak nie było czym palić, bo my spaliśmy na podłodze. Tam były snopki i na słomę jakieś koce [położyli], jakieś szmaty dali. A był mróz to nas właśnie tubylcy nauczyli, jak robić te kiziaci³⁵. Myśmy nie wiedzieli, przecież skąd człowiek miał wiedzieć? Oni robili tam do kołchozów, mówili: „Chodźcie, zobaczycie”. Robili w koło, nawrzucaли глины, słomę, tego z obory i dzieci deptali to wszystko, tak deptali, że rozmieszczaли wszystko. Później były zrobione formy i to wszystko trzeba było nakładać w formy, poleżało trochę w formie i nam dali. My też takie robiliśmy [kiziaci] z tego i suszyliśmy. Później mieliśmy, czym palić. Później takie większe dzieciaki – jechały do lasu, wyrąbywały drzewo, ale komary gryzły, Boże! Nie końmi, tylko bykami trzeba było robić, chłopcy musieli kierować, a my tylko drzewo nosiliśmy. Na ramionach nosiliśmy ścięte drzewa i kładliśmy na te długie fury, to się trzymało, a później trzeba było piłować. Najwięcej kiziacami paliliśmy, bo to przez lato zrobiło się takie stopy tych kiziaców, że można było ze dwa lata palić. To wyschło i później się paliło, tam trochę tych patyków albo liści na początek dawało, ale już nie marziliśmy. Wcześniej to wszystko było mokre. Śpiz, a tam [nad ranem] wejście śniegiem już zasypane. Zimno było, dlatego bardzo dużo ludzi chorowało, ja miałam gardło zamrożone i teraz mam gardło słabe, wiecznie anginę.

Nie było z kim rozmawiać po polsku, te panie to nas tak zbierały cichutko i mówiły, co trzeba robić, żeby się tak [po rosyjsku] nie podpisywać, a po polsku. Nauczyciele ruskie, dyrektor ruski, w szkole dyrektorka ruska, w domu Czuwasze, Mordwini też wszystko po rusku, nie było z kim mówić po polsku tylko tam z tymi paniami, co nas uczyły. To były nauczycielki, które były zabrane do Rosji, je wywieźli i one nas trochę poduczały, żeby nas troszkę tego języka nauczyć. Mówiły: „Pamiętajcie – Polska”. A nam pokazywali takie filmy wojenne, jak Niemcy dzieciakami, ich główkami o mur... Na tych murach rozbijali. Jezu, jakie to było straszne! Dzieci płakały, przed tymi filmami uciekaliśmy w pole, żeby nas nie widzieli, nie zabierali, żebyśmy nie oglądali. To było okropne, jak myśmy się bali. Ja nie widziałam Niemca w ogóle ani przed wojną, ani po wojnie nie widziałam. Przed wojną w Polsce nie było Niemców,

³⁵ Wyschnięty nawóz krwi, kształtowany w kostki, służący do ogrzewania domostw bądź do ocieplania budynków.

takich wojskowych, w czasie wojny mnie nie było w domu, bo byłam w Rosji. A w Rosji tam już daleko na Syberii Niemców nie było, tylko dużo filmów pokazywali, jak Niemcy obchodzą się [z ludźmi] i jak mordują. To było dla dzieci okropne, ale była taka nagonka: „Masz pamiętać, że Niemiec to jest Twój największy wróg”. Tam Polaków bardzo lubili, do wypitki, do roboty, do tego, do wszystkiego, zawsze mówili, a dzieci polskie to są super, wszystkie piosenki od razu na akademiach, śpiewy, tańce.

W szkole myśmy się bardzo dobrze uczyli, pomimo ruskiego. Ruskie to nie byli tacy wredni do dzieci, tylko tam władza się kłóciła między sobą, a tutaj dla dzieci to nie byli źli. Babki a to dały bułkę, a to jakiegoś pieroga, tam makuchę jak miały, to dały dzieciom. Później były sklepy wojskowe, ale dopiero później, jak wojna się zaczęła³⁶ i Niemcy coraz bliżej podchodzili pod Stalingrad, pod Moskwę. Wtedy było ciężko, wszystkich chłopów zabrali do wojska. Zostały same kobiety i dzieci. Musieliśmy pracować, wypasać konie, krowy i owce wszystko na dzieci spadało³⁷. Braliśmy na sznurki te wszystkie zwierzęta. Pługi [braliśmy] i oraliśmy sobie ogrody, żeby posadzić kapustę, coś innego, a to całe obrosnięte mrozem, 60 stopni mrozu było. I musieliśmy sobie jakoś radzić, nie było jedzenia, były mrozy, wszystko było zamarznęte, buraki były zamarznęte, te pastewne kartofle zamrożone. Niektórym to jedzenie nie pasowało, bo na przykład robiliśmy placki z tych obierek i smażyliśmy, to bardzo dużo dzieci zmarło. Później jakieś bejcowane zboże zbieraliśmy na polach, też bardzo złe dla niektórych. Ja też tę chorobę miała, po rusku się nazywała gerpetičeskaja angina³⁸, dostawaliśmy takie czerwone placki i krew nosem, uszami szła. To się odbiło na zdrowiu, ja do dziś mam te takie choroby, które mi mówią, że to ze starości, ale to są powikłania jeszcze z lat dziecięcych, niedojedzenie. Witamin nie było, więc to wszystko było zmęczone, słabe.

³⁶ Autorce prawdopodobnie chodzi o atak III Rzeszy na ZSRR, który rozpoczął się 22 VI 1941 r.

³⁷ Z powodu poboru ludności polskiej w 1943 r. do Armii Czerwonej do wojska wcielona została także młodzież polska. Młodzież nie tylko była kierowana na front, ale też do tzw. wojentrudów. Były to zmilitaryzowane miejsca pracy, takie jak kopalnie, kamieniołomy, fabryki, wyrąb lasów, w których obowiązywał wojskowy rygor i przymus pracy. Wzrósł udział kobiet, dzieci i młodzieży w różnych dziedzinach przemysłu i rolnictwa. Dzieci były wykorzystywane przy pracach, takich jak: wypas bydła, zbiory siana i innych upraw.

³⁸ Angina septyczna – objawami są: powiększone węzły chłonne, obrzęk tkanek otaczających gardło, brudnoszary nalot w gardle, surowiczno-ropno-krwista wydzielina z nosa, może wystąpić ostra skaza krwotoczna.



Dom Inwalidów i Sierot Polskich w Bolszoi Konstantinowce, 29 VI 1945, Irena Sienkiewicz w pierwszym rzędzie od lewej, fot. NN, Archiwum Ośrodka Pamięć i Przyszłość

Ci starsi ludzie to na początku się dziwili, że my jeść nie możemy takich rzeczy, co oni jedli, czy kapusta czy ziemniaki przymrożone, słodkie takie. Początkowo człowiek nie jadł, ale potem jak głód przycisnął... Dali taki kawałek chleba na tydzień, to trzeba było się dzielić³⁹. To było tak: ty masz chleb, a ten starszy pan mówi: „Ja nie chcę cukierków dziecko, daj ten chleb, a ja ci dam cukierki”. Takie cukierki – groszek cukrowy. Tylko to nie było

³⁹ Po przybyciu na miejsce przymusowego osiedlenia, zesłańcy zostali rozlokowani w posesjach, kolchozach i sowchozach. Wyżywienie ich leżało w gestii władz poszczególnych osiedli. Reglamentacja produktów żywnościowych zależała ściśle od wykonywanej pracy. Na jedzenie zesłańcy muszą zapracować, darmowy był tylko wrzątek. Chleb sprzedawano w miejscowych sklepikach, tzw. łarkach, na kartki. Przydział chleba w poszczególnych regionach różnił się i był zależny, zarówno od władz osiedli specjalnych, którą reprezentował komendant obozu, jak i od zatrudnienia oraz wypracowanych norm. Na przykład podawana przez G. Kowalskiego norma dzienna z obwodu tumeńskiego wynosiła 0,5 kg chleba dla osoby pracującej i po 0,2 kg dla dzieci, starców, inwalidów. Niejednokrotnie nie wystarczało pieniędzy zesłańcom na chleb, gdyż nie wyrabiano wyśrubowanych norm pracy, co było spowodowane złym stanem ich zdrowia. Główną zasadą rządzących przydziałami żywnościowymi było zdanie: „Kto nie pracuje, ten nie je”. Zob. G. Kowalski, *Warunki życia codziennego na zesłaniu*, „Zesłaniec”, nr 36 (2008), s. 28–29.

z cukru, tylko melasę dawali do jedzenia, taką żółtą, gdzieś tam z cukrowni przywozili nam. Starsze [dzieci] nam zabierali, bo to dziecko, to co ma do gadania? Starsze [dziecko] to powie: „Ja nie chcę tego, ja chcę coś słodkiego zjeść”, to dawało się im. Dopiero później jak UNRRA⁴⁰ przywoziła nam paczki było lepiej⁴¹. Wtedy już były czekolady. Przywozili ser w takich puszkach i oliwę w puszkach, to wtedy myśmy trochę chodzili do ludzi [i sprzedawali]. Ser w takich puszkach, konserwowany amerykański. Ale to już była polska ambasada, [ona] miała nad nami władzę, nie ruscy⁴². Myśmy do ruskich chodzili i sprzedawali mydło, co nam przysłali w paczkach UNRRA, jak mieliśmy, to szliśmy do ruskich za mleko, za jakieś pierogi się sprzedawało.

Jak przyjechaliśmy od razu obcinali nam włosy, a później wszystkich jak wojsko „na tyso”, żeby nas wszy nie zjadły. Ubrania to początkowo mieliśmy swoje, a jak nie mieliśmy, to nam te panie nauczycielki, z byle jakich materiałów, jaką kieckę uszyły. I się chodziło, a tak to dawali [ubrania] nieraz. Na przykład ja nie miałam walonek, to wzięli, gdzieś tam na wsi znaleźli i dali [mi], a później dopiero to już w 1945 r. paczki UNRRA⁴³ nam dawała.

Było tak, że dawali paszporty ruskie. Tym ludziom dorosłym też dawali. A Polacy nie brali, nie chcieli za skarby. Dużo poszło do więzienia za to, że

⁴⁰ UNRRA została utworzona w 1943 r., jednak jej działalność przypada głównie na okres powojenny. Pani Irena Mrówczyńska prawdopodobnie pomyliła UNRRĘ z Czerwonym Krzyżem.

⁴¹ Po amnestii organy rządu polskiego, których przedstawicielem był ambasador w Moskwie Stanisław Kot, w związku z tragiczną sytuacją zesłanej polskiej ludności zgłosiły się o pomoc w zaopatrzeniu w jedzenie, odzież i leki do władz Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Na terenie ZSRR nie działały przedstawicielstwa amerykańskiego i angielskiego Czerwonego Krzyża, a rozdzielanie pomocy było źle zorganizowane. Powołano Polski Komitet Opieki nad Janem Szczyrkiem na czele, któremu podlegały komitety okręgowe, rejonowe i mężowie zaufania w miejscowościach, gdzie przebywało do 50 rodzin polskich. Komitety te otaczały opieką ludność polską, przekazywały pomoc materialną, rozdzielały zasiłki oraz żywność. Niezależnie od tych dostaw rząd polski kupował w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Indiach miesięcznie towary w ilości 500 ton. Zob. B. Patlewicz, *Ludność cywilna i sieroty polskie po „amnestii” 12 sierpnia 1941*, „Zesłaniec”, nr 32 (2007), s. 73–74.

⁴² Autorka opowiada o czasie po amnestii.

⁴³ UNRRA – z ang. Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy – organizacja międzynarodowa utworzona w 1943 r. w Waszyngtonie z inicjatywy USA, Wielkiej Brytanii, ZSRR i Chin, w celu udzielenia pomocy obszarom wyzwolonym w Europie oraz Azji po zakończeniu II wojny światowej. Prawie 70% świadczeń na rzecz UNRRA pochodziło z USA. Największymi odbiorcami były Chiny i Polska.

nie wzięli tych paszportów. A nam powiedzieli [starsi zesłańcy], że nie wolno nic ruskiego brać, żadnych papierów. I oni [dyrekcja] wszystko na niego zwalili, na tego dyrektora. Wysłali go na Kamczatkę i już nie wrócił do Polski, tylko wrócili: jego córka i matka, i siostrzeniec⁴⁴. Tak jak nam starsi mówili, bo się znali na tej polityce. U nas było bardzo dużo chłopców, więc zabierali do wojska [ich] później i ci chłopcy zginęli prawie wszyscy⁴⁵. Może 2 czy 3 zostało przy życiu, zginęli pod Lenino, wszystkich wysłali tam. A nas jak zabrali do Kujbyszewa, to mieli nas wieźć aż do Kazachstanu, aż do Ałma-aty⁴⁶, tam daleko⁴⁷. Wiedzieli, że [jeśli] na przykład dostałam list od mamy, to ja nawiążę kontakt. I, że może mama będzie chciała, żeby mnie zabrać, bo ona podobno jeździła, prosiła. Oni mówili: „Nie, to nasza, nasza ruska dziewczuszka. My ją wykształcili, my jej dawali jeść. A tu jakby była, to Niemcy by ją zarabali i już”. Bo to już wojna zaczęła się druga, bo to 1939 r., a później w 1941 [r.] nastąpiła druga wojna, znaczy druga tura tej wojny, bo to wprawdzie była polsko-niemiecka, później była polsko-rosyjska⁴⁸. No i wtedy już bali się i nas mieli do Ałma-aty tam do tych Kazachów wywieźć, tam żeby nikt nie wiedział, gdzie jesteśmy.

⁴⁴ Chodzi o Stanisława Borkowskiego, dyrektora Polskiego Domu Inwalidów i Sierot w Bolszoy Konstantinowce, delegata polskiej ambasady w Kujbyszewie. W listopadzie 1943 r. został zaaresztowany. Dyrektorką po nim została Antonina Mynowa – dyrektorka wiejskiej szkoły, której donosy przyczyniły się do aresztowania Borkowskiego. Por. http://karta.org.pl/fotooferty/zbiory_OK/ppages/ppage10.htm (dostęp: 4 IX 2012 r.).

⁴⁵ Po ewakuacji wojska, mimo formalnego istnienia Ambasady RP w Kujbyszewie nasiliły się represje wobec obywateli polskich, aresztowano większość delegatów pod zarzutami szpiegostwa. 16 I 1943 r. rząd radziecki powiadomił Ambasadę RP w Kujbyszewie, że anulował decyzję z 1 I 1942 r. przyznającą obywatelstwo polskie wszystkim osobom narodowości polskiej z terenów przyłączonych do ZSRR. Zob. D. Boćkowski, *Jak piskłęta z gniazd...*, s. 88.

⁴⁶ Ałma-Aty – największe miasto Kazachstanu, położone w południowo-wschodniej części kraju, do 1993 r. obowiązywała nazwa nadana przez władze sowieckie Ałma-Ata.

⁴⁷ Po amnestii i chaotycznych migracjach Polaków z zesłania na tereny łagodniejsze klimatycznie, ambasador Kot prosił władze ZSRR o zorganizowanie przeniesienia ludności z cięższych klimatycznie terenów Syberii na tereny lżejsze klimatycznie. Stalin zaproponował tereny od Turkmeńskiej Republiki poprzez południowy Kazachstan i Uzbekistan aż za Ałma-Atę. Zob. S. Kot, *Rozmowy z Kremlem*, Londyn 1959, s. 213–214.

⁴⁸ Autorka pomyliła się. Faktycznie chodzi o atak III Rzeszy na ZSSR, który rozpoczął się 22 czerwca 1941 r.

Tam w Bolszoi Konstantinowce mieliśmy dom, to tak na połowę w jednej stronie to ci starsi byli, oni nas tam poduczali, a po drugiej stronie dzieci i na drugiej stronie ulicy kołchoźnicy. A dzieci wszędzie wleżą, jak to się mówi. Ja miałam koleżankę ze szkoły, dyrektorki córkę. Ona Wala się nazywała, a dyrektorka nie była dobra, coś nie lubiła naszego dyrektora, wysłała go na Kamczatkę⁴⁹. Popa mieliśmy, bo tam Ukraińcy byli i popa wzięli gdzieś tam przygarnęli ruscy i zabrali, wysłali na Syberię. Nie było mszy, on przychodził do nas wieczorem. Cisza była, już nikt nie wiedział z tamtych władz, [pop] przychodził, uczył nas jak duchy wywoływać. To jest tak: jest takie koło i się wszystkie litery alfabetu wypisuje, bierze się spodeczek do góry nogami i tam strzałka jest. Później tak zakręca się i na jakiej literze się zatrzyma, to ten duch przyjdzie. To zaczęli: na „P” – Piłsudski, tak sobie dzieci wygadywali i później bali się. To myśmy się bali, a później batiuszka brał i na szafę [kładł] ten spodeczek. Jezu, jak ja się tego spodeczka bałam! Tam byli Ukraińcy i on tam mówił coś o Bogu. A były kobiety, które nas uczyły, takie nauczycielki, katechetki to opowiadały nam o religii i uczyły nas modlić [się] po polsku, to już później [było], bo początkowo nikt [nas] nie uczył⁵⁰. Człowiek odsiedział parę miesięcy, wszędzie ruski [język], to zapomniało się o wieczornym pacierzu. Jak już babki przyszły, no to dzieci na kolanka i *Ojciec nasz* i uczyli nas. Tam to pogrzebów nie widziałam, ale słyszałam, bo moje koleżanki opowiadały. To tylko pogrzeby były, wtedy co jechali pociągiem. Jak które [dziecko] umarło, to brali, wyrzucali na śniegi. Się śnieg odgarnęło i zasypało śniegiem. Żeby szybko. Mojej koleżanki to tak brat zginął, w pociągu zmarł, bo nie było co jeść. Nam też nie dawali dużo [jeść], to później nam ambasada z tego Kujbyszewa pomogła. Wtedy nam dali suchary, dali nam mleko koncentrowane, to sery dawali, ale nie było dużo do jedzenia.

Tak chodziliśmy do nich właśnie po coś tam zrobić na drutach, te panie nas nauczyły, czy chustki czy skarpetki, bo nie było butów, to w skarpetkach jak taki gorący piasek był [chodzili]. Miejscowi, to znaczy to byli Syberiaci⁵¹, to różne narodowości. Tam była taka osada, ta Olga mnie mówiła,

⁴⁹ Por. przyp. 44.

⁵⁰ Po utworzeniu domu polskiego.

⁵¹ Syberiaci – w relacji ludzie rdzenni, tubylcze narody Syberii, wchodzące w skład ZSRR.

że była miejscowość, gdzie Niemcy byli jeszcze z dawnej carskiej Rosji⁵². A zwozili nowych [ludzi] tam na to miejsce, żeby zasiedlać te kołchozy, żeby do pracy szli, żeby pracowali. [Chcieli] żeby dzieci uczyły [się], żeby dzieci mieli jakieś wiadomości, [żeby] dom kultury był. Polacy tam rządili w domu kultury. Śpiewaliśmy polskie piosenki, jak widzisz i był orzeł polski, można było [już wtedy].

Ale było tak, że stał się taki wypadek. Mieliśmy dom, w jednej sali dzieci, a w drugiej starsze panie i starsi panowie. Szłam do ubikacji, a ubikacja była na polu. Trzeba było przejść przez taki ogród, który sami sobie robiliśmy i [wtedy] czepliło się mnie jakieś psisko. Szedł za mną, szedł i wreszcie złapał mnie za nogę, ugryzł, przewrócił. Ja w krzyk, w płacz. Mieliśmy tam pielęgniarkę, poleciałam do niej, ona zaraz po lekarza. Trzeba było jechać do miasta, do kliniki. To było chyba ze czworo czy pięcioro dzieci. Dwie Żydóweczki, ja i chłopak, nas wszystkich to psisko tak pogryzło i oni wzięli te wszystkie dzieci zawieźli do miasta, do kliniki, chodziliśmy na zastrzyki [przeciw wściekliwości] w brzuch.

Dostawaliśmy w każdy dzień zastrzyk, każde dziecko musiało dostać a nie było gdzie spać, bo hotelu nie dali. Wtedy nas ta pani, ona była naszą pielęgniarką, niby opiekunką – dobra kobieta, bo do siebie wszystkich nas wzięła, do domu. Po tych zastrzykach strasznie dostawało się gorączki i musiało się leżeć w łóżku. Trzeba było, żeby ktoś pilnował, żeby nie było jakiegось wstrząsu i ona nas pilnowała. Ale trzeba było też na drugi dzień wstać i pójść do kliniki, a profesor był taki, że jak walnął igłą w brzuch, to człowiek aż odskoczył. Szliśmy tą ulicą główną, tam w tym Kujbyszewie. Patrzymy się – jakiś dom, taki dosyć ładny dom. Zaglądamy, a tam chorągiew nasza polska biało-czerwona, orzeł na tablicy. „O matko, co to jest? To nasza Polska!”. Podchodzimy bliżej, polskie napisy po rosyjsku napisane⁵³. Chcieliśmy się przyjrzeć, a tam straż, żołdacy stali z tymi bagnetami i „nie

⁵² W 1864 r. ze Śląska zostali przesiedleni Niemcy, w 1941 r. Niemcy zostali wysiedleni do Kazachstanu, ponieważ według władz radzieckich był to „element antyradziecki i niepewny”. Zob. S. Ciesielski, G. Hryciuk, A. Srebrakowski, *Masowe deportacje ludności w Związku Radzieckim*, Toruń 2004, s. 349–377. Na miejsce Niemców zesłano Mordwinów, Czuwaszy, Tatarów. Powodem było realizowanie polityki destrukcji naturalnych struktur społecznych, więzi narodowych, etnicznych i wyznaniowych. Zob. http://medianet.yartel.ru/rodina/images/stories/newhistory/history_konstantinovka.pdf (dostęp: 4 IX 2012 r.).

⁵³ Cyrylicą.

wolno wejść”. To była ambasada polska. I chcieliśmy tam wejść, a oni: „*Davaj nazad*” i „*davaj nazad*”. „Odwróć się i marsz!”. Zrobił się szum, krzyk, płacz: „My Polaki, my Polaki!” zaczęliśmy strasznie płakać, że nie chcą nas wpuścić. I wtedy wyszedł stamtąd jakiś pan, taki wysoki, zobaczył nas i powiedział: „Co to jest? Co to taki krzyk?”. Zainteresował się. Podszedł do nas: „Co wy? Jakie wy Polaki, skąd wy jesteście?”. A my tak: w walonkach, w takich fufajkach, biedne dzieci zmarznięte, schorowane, wystraszone. Podszedł do nas i zaczyna rozpytywać, wreszcie się zlitował nad nami, wziął nas do tej ambasady⁵⁴. Myśmy byli głodni, a oni zrobili nam śniadanie, dali nam jeść porządnie. Pamiętam pierwszy raz kakao piłam tam w Rosji i rogaliki z masłem też były, dla nas to było coś.

Później jak ambasada dowiedziała się, że polskie dzieci są w wiosce, jak myśmy tam trafili w Kujbyszewie, to przyjechali do nas, żeby tam zbadać, kto Polak, kto nie Polak, kto Ukrainiec. Skąd się dzieci wzięły, to znaczy pyta się: „Skąd ty jesteś?” „Nie wiem, od mamy”. „Od mamy? A gdzie twoja mama mieszka?”. „No w Kowlu”. „A tato jak się nazywa, gdzie pracował?” „A tato był żołnierz”. I polskich [dzieci] trochę zabrali właśnie w tej Konstantinowce i nas mieli wywieźć do Indii, bo tam była ta Hanka Ordonówna⁵⁵, to mieliśmy właśnie z nią jechać do Indii. Ale właśnie potem

⁵⁴ Powołanie od życia ambasady RP w ZSRR nastąpiło 21 sierpnia 1941 r. po wcześniejszym podpisaniu układu polsko-radzieckiego (Sikorski–Majski) w Londynie 30 lipca 1941 r. przez przedstawicieli obu rządów. W układzie Związek Radziecki wyraził zgodę na utworzenie na swoim terenie armii polskiej oraz udzielił amnestii wszystkim obywatelom polskim, którzy w tym czasie byli pozbawieni wolności na terenie ZSRR. Opieka nad dziećmi, a przede wszystkim nad sierotami, stała się głównym celem działalności ambasady RP w ZSRR. W tym czasie organizowano instytucje opiekuńcze i wychowawcze dla sierot, a także umożliwiano naukę języka polskiego. Zob. D. Boćkowski, *Jak piskłęta z gniazd...*, s. 69; E. Trela, *Edukacja dzieci polskich w Związku Radzieckim w latach 1941–1946*, Warszawa 1983, s. 20.

⁵⁵ Hanna Ordonówna – prawdziwe nazwisko Maria Anna Tyszkiewicz, polska piosenkarka, autorka wierszy oraz tekstów piosenek, tancerka i aktorka. Aresztowana przez NKWD po aneksji Litwy przez ZSRR za odmowę przyjęcia obywatelstwa radzieckiego, została deportowana do obozu w Uzbekistanie, gdzie ciężko pracowała przy budowie dróg, głodowała i rozchorowała się na gruźlicę. Zwolniono ją z obozu na mocy amnestii. Przywiozła z Taszkientu transport dzieci polskich, pogubionych w chaosie deportacji ludności. Swoje losy opisała w książce: W. Hort, *Tułacze dzieci*, Warszawa 1990.

[gen. Władysław] Sikorski⁵⁶ się zabił i wszystko się rozwaliło, nie mogliśmy wyjechać i nas nie wypuścili. Powiedzieli, że „Wy nasze dzieci i nie puścili nikogo”⁵⁷. Tylko ci, co uciekli, tacy starsi chłopcy, bo my to dziewczyni młodsze byłyśmy, ale chłopcy to uciekali do wojska Andersa, uciekali z wojskiem za granicę⁵⁸. Później nam Wanda Wasilewska trochę pomogła. Pisaliśmy listy, żeby nas puścili do domu, „bo my chcemy do mamy”. Pisały nam te starsze panie, starsi panowie, to oni wiedzieli jak to załatwić. Kazali dzieciom pisać, to myśmy pisali, no i dostaliśmy później po wojnie dopiero [dokumenty], to już w 1946 r. dostaliśmy, takie wizy⁵⁹.

Było tak, że starszych szykowali na wojnę. Na przykład starsze dziewczyni to szykowali i im robili PW⁶⁰ czy jak to się nazywa. Chłopcy to już też normalnie i później wysyłali ich do fabryki broni. Bo ja niewiele wiedziałam, bo ja byłam za mała, a one pracowały tam i później było tak, że my mieli jechać, wzięli już tam przygotowywali nas do wyjazdu. Już front szedł i w nocy nas wozili od miejscowości do miejscowości. Mieli nas wywieźć do tego Kazachstanu i mieliśmy tam zostać tymczasem. No i tam zostawili nas, już tam Polska z tymi ruskimi się dogadała wtedy, że trochę puszcza tych ludzi do domu, bo już nie było czym karmić tych Polaków. Było już wojsko Wandy Wasilewskiej, a później tych starszych puszczała na Ukrainę, bliżej

⁵⁶ Generał Władysław Sikorski, polski premier i Naczelny Wódz zginął w Gibraltarze 4 lipca 1943 r. podczas powrotu z inspekcji sił Armii Polskiej na Wschodzie. Okoliczności jego śmierci pozostają jedną z niewyjaśnionych do dzisiaj zagadek II wojny światowej.

⁵⁷ Zapewne głównym powodem tej sytuacji było jednostronne zerwanie przez ZSRR stosunków dyplomatycznych z Polską notą z 25 kwietnia 1943 r.

⁵⁸ Dnia 19 marca 1942 r. gen. Władysław Anders wydał rozkaz o ewakuacji wojska, ale także dzieci i ludności cywilnej przebywającej z polskimi oddziałami. Zalecenie dotyczące ewakuacji ludności cywilnej było powodem zatargu, jaki powstał między ambasadą polską a dowództwem armii. Ambasador Kot chciał wstrzymać ewakuację ludności cywilnej, przeciwne jej były także władze brytyjskie, które dążyły do ewakuowania jak największej liczby żołnierzy. Generał Anders nie cofnął rozkazu. W dniach 24 marca do 4 kwietnia ewakuowano 33 069 żołnierzy, w tym 1603 oficerów, 1759 ochotniczek i 1880 junaków, a także 10 789 osób cywilnych, w tym 3100 dzieci. Jeden z punktów naboru do Armii Polskiej działał przy ambasadzie polskiej w Kujbyszewie od 1941 r. Zob. W. Biegański, *Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej. Walki formacji na Zachodzie 1939–1945*, Warszawa 1981, s. 325–326. Por. J. Wróbel, *Uchodźcy polscy ze Związku Radzieckiego 1942–1950*, Łódź 2003, s. 12–47.

⁵⁹ Karty ewakuacyjne dla ludności polskiej i żydowskiej umożliwiające wyjazd.

⁶⁰ PW – Przysposobienie Wojskowe.

Polski. I nie można było do samego domu, tylko musieli odrabiać swoje. To, co tutaj [na zsyłce] dawali jeść, wszystko trzeba było odrobić, nie było nic za darmo. Byli ci na Ukrainie⁶¹, a nas chcieli zawieźć tam do Ałma-aty. Ale bali się później, jak się dowiedzieli, że tam w Ałma-acie, w Kazachstanie, że tam jest Polonia i że Polacy będą nas brać pod swoje skrzydła. Już nas tam nie zawieźli, zostawili nas w tej szkole w Kujbyszewie. Ambasada nami się zajęła. Później chcieli nas do Indii wysłać, ale nie zdążyli. Było trzeba pracować i my szkoły pokończyli, niektórzy pokończyli. Ja skończyłam dziesięciolatkę i koniec. Nie było tam na wsi takich wielkich szkół, ale zaczęłam szukać swoich rodziców.

Mamy szukałam i nie tyle mamę znalazłam, co znalazłam ciotkę, która pracowała na poczcie i znalazła moje listy na poczcie w Kowlu. A mama też mieszkała w Kowlu, tylko tam nie pracowała. I ciotka znalazła listy i poszła do swojej bratowej. [Mówi]: „Słuchaj Irka pisze jakieś listy”. Zaczęli szukać i przysłali mi wizę, żeby mnie oddali. Poszłam do takiego biura, 15 kilometrów na piechotę w suszy takiej. Poszłam tam, bo trzeba było załatwiać dokumenty, prosiłam żeby mnie puścili do mamy. Powiedział: „Cicho siedź, nie trzeba. Nie mów, bo ty już jesteś nasza, bo my cię wychowali, my ci dali jeść, my cię kształcili, to już jesteś nasza. A tam Niemcy są i Niemcy was *ubiūt* i już”. Że nas Niemcy zabiją. Skoro tylko już wiedzieliśmy, że nas nie puszcza do Polski, to myśmy uciekli i poszliśmy na taki przystanek, w takim polu był przystanek i tam czasami pociągi tak leciały, tam do tego dużego miasta, który się nazywał Kujbyszew. Myśmy jeszcze nie wiedzieli, gdzie pojedziemy, pojechaliśmy tam tak na wagonach, tak na schodkach, cichaczem [siedzieliśmy, żeby] nikt nie wiedział. Uciekliśmy stamtąd [z Bolszoj Konstantinowki] i jechał pociąg, [więc] myśmy wsiedli i nas zawiózł do Kujbyszewa.

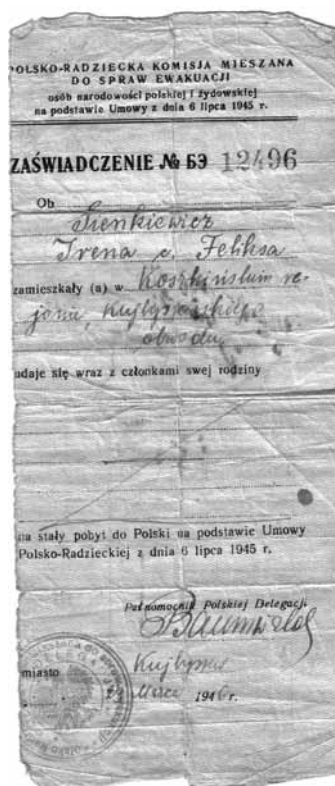
Znowuz pisałam do Wandy Wasilewskiej, później się wytworzył ten komitet⁶² i dostałam dokumenty. I już jak w Kujbyszewie byliśmy i dali nam

⁶¹ Przesiedlenie od maja do grudnia 1944 r. ponad 50 tys. obywateli polskich, głównie Polaków i Żydów z terenów północnych i syberyjskich ZSRR do południowych obszarów Rosji i ukraińskiej SRR. Zob. G. Hryciuk, *Polacy, [w:] Wysłiedlenia, wypędzenia, ucieczki...*, s. 52.

⁶² Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego – powołany w Moskwie samozwańczy tymczasowy organ władzy wykonawczej, działający od 21 lipca do 31 grudnia 1944 r. na wyzwolonych spod okupacji terenach Polski (województwo lubelskie, podkarpackie, podlaskie, część mazowieckiego i świętokrzyskiego). Realizował politykę ZSRR w Polsce.

te karty. Jak nam dali te karty, to nami się zajęli Polacy, którzy jechali. [Ta karta] to już był dokument i można było granicę przekroczyć. Nas by nie puścili bez tej karty. Przyjeżdżamy [do Kujbyszewa], a tam transporty stoją, tysiące ludzi wiozą, nikt nic nie wie. Ale znaleźliśmy swoich, a oni mieli już przygotowany wyjazd do Polski, bo to już był 1946 r., no i wtedy właśnie nam pomogli. Ja siedziałam w takiej jakiejś paczce, tam inne dziecko siedziało zawalone walizkami. To czekaliśmy, modliliśmy się, bo był cały zapikowany wagon. Myśmy tam do granicy modlili się, żeby nas nie zabrali i zawrócili. I bawiliśmy młodsze dzieci, bo nie było co robić. Później pociąg stanął na drodze, to jedni na prawo, drudzy na lewo. Jak to mówią – mężczyźni na prawo, a dzieci siedziały w środku. Dziura była i wszyscy się załatawali w pociągu, bo się bali wyjść. Nie wolno wychodzić, starsi mówili [żebyśmy nie wychodzili], a myśmy się bali. Nam powiedzieli: „Nie wychodzić nigdzie daleko, bo możecie zostać”. To myśmy się trzymali tych ludzi, bo to przeważnie nauczycielki były, takie przedwojenne, to była taka elita przedwojenna, inteligencja, byli i dziadki, bo byli w robotach, w kopalniach złota, w lasach tam już daleko, na tych Kamczatkach i w tych innych obozach.

Pojechałam, przyjechałam do Polski, w Przemyślu wysiadłam. Nie wiem, co robić. Gdzie, co szukać. Widziałam, że w takim mieście jak Chełm, że mama tam gdzieś będzie. Wtedy jak była już repatriacja i Polaków dużo się kręciło, na każdej stacji była taka komisja i dawali nam takie karty i kierowali nas: „Gdzie chcesz jechać, gdzie twoja mama?”. I ja z tego Chełma pojechałam tam do Rejowca⁶³, bo moja mama w Rejowcu pracowała w cukrowni. Ja dostałam się do tego Rejowca. Ze stacji znowuż kilkanaście kilometrów szłam na piechotę i w takich bryzowych, brezentowych bucikach po wodach. Taka byłam zmęczona, przyszałam i proszę takiego mężczyznę na



Karta repatriacyjna do Polski Ireny Sienkiewicz, wydana na podstawie umowy polsko-radzieckiej o przesiedleniu osób narodowości polskiej i żydowskiej z ZSRR do Polski z dnia 6 VIII 1946 r., Archiwum Ośrodka Pamięć i Przyszłość

⁶³ Rejowiec – wieś w Polsce, w powiecie chełmskim, w województwie lubelskim.

bramie [cukrowni], że ja chciałam do mojej mamy. Mnie nie puścili: „Poczekaj zaraz zobaczymy co i jak”. Ja mówię: „Tu moja mama pracuje”. Poszli ją szukać, mówi: „Mama pracuje tam w szynach, nie wolno wchodzić”. Ale wyszedł taki człowiek i mówi: „Co ty chciałaś?”. Ja mówię, że przyjechałam do mamy i mówię, że mama się tak i tak nazywa. Zaprowadził mnie, bo to było poza miastem. Więc wróciłam do miasta, on do siebie mnie zabrał, to był sąsiad mamy i wtedy właśnie wziął mnie do siebie. Tam dali mi herbatki i ja taka byłam chora, gorączkę miałam, bo zawsze miałam z gardłem [problemy], zawsze chorowałam. Oni mnie trzymali później i jak mama skończyła pracę, to przyszła. Mama zobaczyła mnie – padła. Zobaczyła i nie wierzyła, że to jej córka. Jak miałam 10 lat, ważyłam 30 kilo[gramów], po 7 latach miałam 17 lat i też ważyłam 30 kilo[gramów], szkielet. Nie wierzyła, że to ja jestem, ale później ocucili ją. Ja też miałam takie różne problemy, bo też nie wiedziałam, czy to moja mama czy nie moja mama. Ale widzę, że ludzie wiedzą, mówią po nazwisku. Wszystko dobrze: „Sienkiewiczowa nie martw się, przyjechało dziecko!”. No to widzę, że to chyba moja mama. Później zabrali mnie do domu, to mama mi dała jakiś obiad i ja trochę zjadłam. Nasmażyła mi jajek, jakiejś jajecznicy, ja to zjadłam. [Potem] ja później 3 miesiące leżałam chora. [Na zesłaniu] jadłam przecież tylko tak: słonecznik, jakieś troszkę tam pomidory, jak się ukradło. [Dlatego właśnie jak] ja przyjechałam, to byłam trup. Mama nie chciała wierzyć, szkielet normalnie. Dziewczyna 17 lat i tylko 30 kilo[gramów]!

Nie wiedziałam, jak to będzie [gdy odnajdę mamę]. Ja jechałam i myślałam, że zobaczę mamę, ojca, dzieci, siostry, braci. Pięcioro nas było w domu, ja myślałam, że wszystko będzie normalnie jak przed wojną. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, [że tak nie będzie]. Jak przejechaliśmy granicę, to była radość, to najważniejsze, że ci ludzie nie mieli papierów, dopiero po drodze załatwiali papiery, tak jak ja. Ja nie miałam, inne dzieci też nie miały, a niektóre to uciekały z wagonów i poszli w swoje [strony]. Później, jak byłam w Rejowcu, wzięłam tę kartę [ewakuacyjną] i dowiedziałam się, że mogę tu przyjechać, na Zachód jako repatriantka. Wzięłam swoją rodzinę na tę kartę i przyjechałam tu [do Jawora], dostaliśmy mieszkanie i trochę opieki społecznej z Państwowego Urzędu Repatriacyjnego⁶⁴. A oni [reszta dzieci]

⁶⁴ Powiatowy Oddział Urzędu Repatriacyjnego w Jaworze powstał w maju 1945 r. przy ul. Przydrożnej 1 (dzisiejsza Adama Rapackiego 1), punkt etapowy, w którym nowo osiedlani otrzymywali noclegi, znajdował się przy ul. Kolejowej 4. Zob. J. Rybotycki, *Jawor od A do Z*, t. I, Jawor 2006, s. 116.

pojechali dalej, jechali, ale nie wiem, gdzie. Nie wiem, bo to rodzice pomarli, zamarli, oni się rozjechali po Polsce. Ponieważ ojca nie miałam, a było nas pięcioro dzieci, mama sama pracowała tam, a tu [w Jaworze też] była cukrownia, przerwali mamę z tamtej cukrowni [w Rejowcu] do pracy tutaj [do Jawora]⁶⁵.

I myśmy przyjechali tutaj i PUR nami się zajął, dał nam mieszkanie. Ja zaraz poszłam do szkoły. Nie wiedziała w ogóle, co to Jawor⁶⁶. Co to jest? Były samochody i wieźli nas do mieszkania, od razu mama poszła tam do tego biura, pokazała te papiery: „Moja córka repatriantka, przywiozła nas tutaj, mamy tutaj dostać mieszkanie i opiekę”. Za chwilę dostaliśmy mieszkanie, przywieźli nas do mieszkania. Mama załatwiła, ale mieszkanie dostaliśmy tam, gdzie jest kino na ul. Chrobrego. Tam w podwórku, taki duży dom był niemiecki i w tym domu dostaliśmy górę, całe piętro. To dla nas to mieszkanie było, ja nie wiem, czy mama wybierała czy nie, ale zazwyczaj dawali takie jak ktoś sobie wybrał. Bo na ogół ludzie chodzili, zaglądali. To [mieszkanie] puste było, a tu Niemców jeszcze trochę było⁶⁷. Ja od razu poleciałam zapisać się do szkoły, bo nie umiałam po polsku mówić. Poszłam do pracy, trochę do cukrowni. Nie umiałam tak dobrze po polsku mówić, [więc] jak przyjechałam, to na mnie krzyczeli wszyscy *ruskaja*, więc mi było przykro. Zapisałam się do szkoły, a później pomału, pomału właśnie taka pani profesor [Serafin] też mnie uczyła [prywatnie]. Jej mąż też. Tam trochę chodziłam na lekcje prywatne, akcent miałam ruski i zaciągający. Mieszkałam i mówili do mnie: „A to Rosjanka”. Ja mówię: „Ja nie Rosjanka, ja Polka”. Musiałam się tłumaczyć, a mi było bardzo przykro.

Myślałam: „Też moja mama będzie na mnie pracowała”, jeszcze ma czworo dzieci, poszłam do pracy. Z PUR-u dostaliśmy meble, tam jakieś kanapy czy łóżka. A tam, gdzie dostaliśmy mieszkanie, tam byli Niemcy. Niemcy wywozili czy uciekali, przeważnie oni brali rzeczy, ale nie zabrali wszystkiego. Tam było 5 łóżek w tym mieszkaniu, meble, zostawili nawet ubrania, jedzenie, nawet jakieś suszone ziemniaki były. Ludzie to chodzili, szabrowali jak to mówili, szabrowali w różnych mieszkaniach. Niemcy zostawiali ubrania, futra, wszystko, [oni] się tak bali tych ruskich, a tu ruscy

⁶⁵ Cukrownia w Starym Jaworze – wsi znajdującej się obok Jawora.

⁶⁶ Jawor – miasto powiatowe w województwie dolnośląskim.

⁶⁷ W dniu 9 VII 1946 r. liczba ludności w Jaworze określana była jako 14 302 osoby, w tym 54% było pochodzenia polskiego, 6,5% Żydów i 39,5% Niemców. Zob. J. Rybotycki, *op. cit.*, t. I, s. 6.

już byli – pierwsze władze. To Niemcy tak się bali, tak uciekali, że takie wózecki robili, szybko do tego Berlina uciekali⁶⁸. A ja tak politycznie nie umiałam jeszcze myśleć, nie wiedziałam, co znaczy. Myślałam, jakoś ludzie wszyscy biedni, ten biedny i ten biedny. Ten przyjechał i ten przyjechał, każdy sobie jakoś tę wojnę wspominał, rozmawiali, męczyli się te Majdanki, te Oświęcimy. Każdy miał swoją jakąś historię.

Ja tak myślę, że jak ktoś przyjechał tu, z dobrej rodziny, to jeszcze dobrze było, gdy matka, ojciec, to jeszcze, ale jak ja przyjechałam, mama pięcioro dzieci i ja przyjechałam bidna taka jak szkielet, mama padła jak zobaczyła, mówi: „Matko, to nie moje dziecko”. Ja poszłam do pracy, szkoły, a były te młodsze dzieci i trzeba było wychować je. Byli tacy, że już mieli majątki tutaj, w Targoszynie⁶⁹, czy gdzieś na którejs wsi i dostawali majątki, ludziom się niektórym powodziło. Jak przyjechałam, to był pusty Jawor i tam, gdzieśgdzie były białe chorągiewki. A ja przyjechałam w 1947 r., a ludzie jeszcze wcześniej przyjechali. Niemcy się już w większości wynieśli, bo się bali, że będą przychodzić i strzelać. Ruskich się bali. Jeszcze opowiadali jak [od razu] po wojnie Niemcy wywieszali chorągiewki takie białe, że poddali się, żeby ich nie zabijać, a później zaczęli [ładować] wózecki i uciekali za granicę⁷⁰.

Ja nie miałam nic, ja poszłam do PUR-u, zdjęłam te walonki, bo stare takie były zniszczone, bo ja tam łąziłam, miałam takie brezentowe buciki. A tutaj poszłam do PUR-u, dostałam sukienkę, dostałam bieliznę, dostałam wszystkie ciuchy do ubrania. A dodatkowo były paczki z UNRRA, dostawaliśmy jedzenie, można było chodzić na obiady do stołówki, ale ja nie chodziłam, bo się bałam z jedzeniem. Ja zawsze zdechła byłam, coś mi zawsze zaszkodziło. Mama pracowała, ja pomagałam jej, później poszłam do pracy do cukrowni, coś chciałam mamie pomóc i pomagałam jej, żeby coś te dzieci miały, bo ciągle chodziły do szkoły. Trzeba było wszystkim pomóc, ani

⁶⁸ Na temat ewakuacji ludności niemieckiej zob. *Wysiedlenia, wypędzenia, ucieczki 1939–1959. Atlas ziem polskich...*, s. 158–175; Por. G. Thum, *Obce miasto. Wrocław 1945 i potem*, Wrocław 2005; B. Nitschke, *Wysiedlenie ludności niemieckiej z Polski w latach 1945–1949*, Zielona Góra 1999.

⁶⁹ Targoszyn – wieś w gminie Mściwojów, w powiecie jaworskim, w województwie dolnośląskim.

⁷⁰ Zarządzenie nr 4 burmistrza Jawora Stefana Glinki z 19 VI 1945 r. o obowiązującym wywieszeniu przez Polaków flag o barwach narodowych, a przez Niemców flag białych, z terminem wykonania 22 VI 1945 r. zostało wydane w języku polskim i niemieckim. Zob. J. Rybotycki, *op. cit.*, t. I, s. 112.

mody nie było. Człowiek miał tę spódniczynę i mógł chodzić kilka lat, nie było takiego jak teraz. Bo to wszystko biedne ludzie przyjechali, nawet nie myśleli, a jak było jakieś kawałek materiału, to się zaniósł do krawcowej, jakąś bluzkę możliwą uszyła.

Tu na Dolnym Śląsku bardzo bali się wszyscy, moja kochana, bo opowiadali, jak radzieccy [żołnierze] gwałcili dziewczyny, kobiety. Ludzie się bardzo bali, ja mam na przykład taką powieść mojej koleżanki ze szkoły, z którą razem pracowałam w bibliotece [autorstwa] Zofii Leks. Ona napisała o Niemce, jak Rusczy tutaj Niemców mordowali, jak ona była w więzieniu, tutaj siedziała. Sami Niemcy, a później jak rusczy przyszli, to dołożyli im⁷¹. Ja się nie bałam, bo ja umiałam z nimi pogadać. Polacy nie umieli z nimi gadać, a jak oni usłyszeli ruską mowę, to inaczej: „No dawaj, dawaj, idź sobie”. A zaczepiali Polki, a na przykład mój mąż opowiadał i teść też. To był Piłsudczyk, ze Lwowa i opowiadał, że jak przyjechali tutaj, to na osiedlu, tam na tym dziecięcym osiedlu⁷², przychodzili rusczy i tutaj jeszcze takiej władzy nie było. To na oczach męża „kładź się” i gwałcili żonę na oczach męża, to jeden zwariował podobno. Chciał zabić, ale jakoś nie udało mu się zabić tego ruskiego, ale bali się nocami, bali się chodzić. Zawsze ktoś komuś, coś złego zrobił. Później to już tak się to uspokoiło, ale początkowo każdy się bał, bo tam było wojsko wyposzczone młode chłopcy, dobrze nażarli się, jak to mówią, i zabawy się chciało. Bawili się, a ponieważ tu był dom publiczny za Niemca, to Niemki mieli [tam] tego i zrobili im na Placu Wolności, tam gdzie teraz ten sklep na pierwszym piętrze jest. Jak się schodzi na rynek, to taki sklep z wędliną był⁷³. I na górze, na pierwszym piętrze, wszystkie Żydóweczki były. Tak, wszystkie Żydówki, to były takie doktorowe, wszystko zabrali ich tam i tam używali na dziewczynach, młodych, ładnych. Ale to za niemieckich czasów.

A poza tym sowięci przychodzili do domów i też szukali czegoś. Myśmy mieli taki duży zegar ścienny, to znaczy stojący, z taką tarczą, to jeszcze jak był mąż kawalerem, to przyszedł żołnierz, ciachnął bagnetem i do

⁷¹ Zob. J. Hytrek-Hryciuk, *„Rosjanie nadchodzą!“. ludność niemiecka a żołnierze Armii Radzieckiej (Czerwonej) na Dolnym Śląsku w latach 1945–1948*, Wrocław 2010.

⁷² „Dziecięcy osiedlem” nazywana była część Jawora, na której wybudowane były domki wolno stojące, w pobliżu dzielnicy znajdował się do lat 90. szpital dziecięcy przy ul. Głuchej.

⁷³ Według relacji świadka, prawdopodobnie budynek przy pl. Wolności nr 30 w Jaworze.

254

wyrzucenia był zegar. On [żołnierz] mówi: „Daj to”, on: „Nie”. Żeby zniszczyć. Musieli my wyrzucić, bo przecież rozwalony był, a niszczyli wszystko, kradli przede wszystkim zegarki. Broń boże zegarek, ja mam zegar mojego teścia Omega, to jest przedwojenny. I on to nosił, kupił go jeszcze przed wojną we Lwowie, przywiózł tu do Jawora, bo oni mieszkali tutaj, bo ja przysłałam tu do teściów na to mieszkanie i później oddał synowi, czyli memu mężowi i jak mąż zmarł, to ja wzięłam, nie oddam nikomu.



Pani Irena
Mrówczyńska
w 1957 r.,
Jawor

Ja nie miałam czasu na politykę, jeździłam do Wrocławia, jeździłam do Warszawy, się szkoliłam. Chciałam być człowiekiem, bo tam [w Rosji] trochę chapnęłam tej nauki jednak. Ruscy trzeba przyznać bardzo dobrze uczyli, historii, geografii, matematyki, także myśmy dobrze byli przygotowani i trzeba było jeszcze kulturalnie się zachowywać i tych ruskich jeszcze różnych kacapów wszystkich, jak ja to mówię, trzeba było uczyć. A to, co przed wojną, dużo pamiętałam, bo dziecko dużo pamięta. To później jak przyszło, chciałam zapomnieć o tej Rosji. Po pierwsze, jak poszłam do pracy, nie można było pisać, że się było w Rosji wywiezionym, nie można było nikomu opowiadać, jak było w Rosji. Tu

w Jaworze, ja nigdy dzieciom nie opowiadałam, dopiero jak powstał Związek Sybiraków⁷⁴ i oni zaczęli się interesować. I raz dają śniadanie, a oni: „A nie chce tego, tamtego”. Ja mówię: „Ja w twoim wieku gryzłam chleb, nie wiedziałam z której strony ugryźć, a ty kaprysisz”. „Babciu albo mamó, a to jakieś bajki przedwojenne”. Nie chcieli wierzyć. Ja nie chciałam nawet wspominać o tym, bo się strasznie bałam. Nawet swoich dzieci nie puszczałam na żadne kolonie, tak się bałam, że oni mogą nie wrócić do mnie. Bo tam zabrali dziecko na kolonie i nie wróciło przez 7 lat, to tak zostało we mnie i moje dzieci nie znały koloni. Bo ja się zawsze bałam, jakiś uraz miałam, nie chciałam puś-

⁷⁴ Spotkanie założycielskie odbyło się 4 czerwca 1989 r., miejsce spotkań Koła Sybiraków w Jaworze to ul. Zamkowa 1.

cić nigdy. Już jak córka starsza była to dopiero poszła do harcerzy, prowadziła te zespoły harcerskie, zastęp. To już tak jeździli na te jeziora do Sławy⁷⁵, dlatego to ja tam jeździłam co niedzielę z mężem. Miałam taki uraz i co jeszcze zostało mi z tamtych lat, to chomikowanie jedzenia.

Po pierwsze musiałam nauczyć się po polsku. Mąż do mnie tak mówił: „Przestań ty po rusku gadać”. A bardzo ciężko, jak jeszcze chodziłam do szkoły miałam z rosyjskiego oceny bardzo dobre, ale jeszcze z polskiego miałam taki akcent rosyjski i takie różne gramatyczne formy, ale się nauczyłam wszystkiego. Między ludźmi człowiek się uczy, ale to zawsze ktoś poznał. Pamiętam, że byłam wtedy w parku. Kiedyś tam była taka świetlica, rozmawiamy i tam stał taki młody człowiek i mówi: „Pani to chyba z Rosji przyjechała”. A ja mówię: „Skąd?”. „Bo Pani ma taki ruski akcent”. Długo miałam taki akcent. Ale ja umiałam dobrze po rosyjsku, dużo literatury czytałam, Tołstoja i tych wszystkich Niekrasow, wiersze. Byłam z tą literaturą obeznana, ale było mi ciężko zanim nauczyłam się po polsku mówić. W domu się mówiło, mama często mnie poprawiała: „Dziecko ty zapomnij o tym wszystkim”. Mówiła: „Zapomnij”. Ale to się nie zapomina. A później, jak już wyszłam za męża, to mąż mnie tak trochę strofował: „Przestań ty myśleć po rosyjsku”. Bo ja nawet myślałam po rosyjsku. Mnie było bardzo ciężko, ale później po tych szkołach, po tym wszystkim już [było lepiej]. Później po tych nauczycielkach, już prywatnie to jakoś sobie dałam radę, chociaż ja nie wiem, może teraz jakiś znawca dobry polskiego języka, może będzie miał jakieś zarzuty, jak ja mówię.

Moja mama z dziećmi przyjechała tutaj początkowo. To przyjechał transport takich ludzi biedniejszych, takie rodziny z dużą liczbą dzieci, przyjechali jednym transportem do Jawora i wszyscy poszli do cukrowni do pracy, ale ponieważ tam były koszary ruskie⁷⁶, to strasznie się bali chodzić do tej cukrowni. A tak po wojnie przeważnie ludzie z różnych stron byli. Z centrali⁷⁷ pierwsi byli szabrownicy. Bo oni ze Wschodu nie mogli wcześniej, później jak ludzie widzieli, że tam będzie bieda, to uciekali stamtąd, ze Wschodu, i przyjeżdżali tu, bo to był Zachód, to było coś. Dzikie Zachód nazywali, ale bogactwo Niemcy mieli, to przychodzili rabowali od

⁷⁵ Sława – siedziba gminy, miasto w powiecie wschowskim, w województwie lubuskim.

⁷⁶ Dzisiejsze ul. Ignacego Paderewskiego i Karola Szymanowskiego.

⁷⁷ Z centralnej Polski.

Niemców wszystko zabierali. Później była utworzona szkoła, później gimnazjum koło banku [w Jaworze], teraz dwójka⁷⁸, to tam było gimnazjum, tam profesor Serafin i Serafinowa, oni później wyjechali do Wrocławia. Oni też uczyli dzieci, samą młodzież. Młodzież z wojska przyjechała, biedne to, niewykształcone. Jak przyjeżdżałam do Wrocławia, to wszystko gruzy i gruzy. Ja nie wiedziałam, jak wybrnąć później z tych gruzów, jak to wyjść, tam naprzeciw dworca głównego [we Wrocławiu], jakie tam wszystko rozwalone. Same gruzy i nie można było trafić na ulice, tylko trzeba było szukać tramwaju, żeby jakiś tramwaj złapać, żeby pojechać dalej.

A oprócz tego był taki fajny ksiądz tutaj w Jaworze, teraz już nie żyje. On mi ślub dawał, mój profesor ze szkoły jeszcze. Takie dziewczuchy myśmy były, bo już tam 18 lat, to nie pozwalałyśmy mu z nami mieć lekcje. Jak była religia, to my tak – wszystkie siadłyśmy, bo to stoliki były, siadłyśmy, „Proszę księdza...”, a on ładny był chłopak i tak patrzyły, a on już nie wytrzymał, zaciągnął ten habit: „Idziemy w piłkę grać, w siatkówkę”. Tak żeśmy go wyprowadzały z równowagi. Później jak dawał ślub mówił: „No i co zdradziłaś mnie”. Fajny był. Jak ja tu mieszkalam, bo przecież od 1947, 1948 r... Zmarł już, to był fajny chłopak, uczył nas w szkole, później chodził do ogólniaka, też moją córkę uczył. Później koleżanka mnie wciągnęła do Sybiraków, nawet nie chciałam tam iść, dzieciom nic nie mówiłam, one nie wiedziały [o mojej historii]. Bo ja nie chciałam, żeby wiedzieli, bo to takie tragiczne, ja zawsze płakałam, jak wspominałam. Mówiłam: „A nie chcę o tym mówić, po co? Macie szczęście, że wojny nie widzicie, że macie dobrze, że babcia z wami jest”. Ja nie miałam ani babci, ani mamy, ani nikogo i musiałam żyć z ludźmi obcymi, ale dało się. Dużo się rzeczy nauczyłam, z ludźmi żyć.

Żydów trochę było w Jaworze po wojnie⁷⁹. Odróżniali się, byli bardzo ładnie ubrani, takie panie doktorowe. Jak szła taka kobieta, to jak laleczka,

⁷⁸ Zespół Szkół Zawodowych – Powiatowe Centrum Kształcenia Zawodowego im. Komisji Edukacji Narodowej na ul. Wrocławskiej 30 A. Pierwsza szkoła średnia w Jaworze. Pierwszym dyrektorem i założycielem szkoły w 1945 r. był Edward Serafin, w szkole uczyła także żona Bogumiła Serafin. Zob. J. Rybotycki, *op. cit.*, t. II, s. 197.

⁷⁹ W lipcu 1946 r. według danych Wojewódzkiego Komitetu Żydowskiego, w Jaworze zamieszkiwało 1056 żydowskich mieszkańców, po Pogromie Kieleckim w 1946 r. nastąpiła wzmożona akcja migracyjna, w ciągu kilku miesięcy liczba Żydów zmniejszyła się już w listopadzie 1946 r. do 400 osób. Zob. L. Ziátkowski, *Żydzi w Jaworze*, Jawor 2010, s. 73–74.

taka elegancka pani w futrze, widać [było], że to bogaty człowiek. Wyróżniali się, nawet ja znałam tą panią lekarzową i przychodziła tutaj właśnie do męża siostry ta koleżanka, a to starsza też była, ale bardzo ładna była, czarne długie włosy, zawsze była pięknie ubrana, umiała się ubierać i zwracała na siebie uwagę, ale byli też biedni, pracowali w „Pionierze”⁸⁰, w takiej fabryce tych różnych wyrobów [gumowych]. Różni byli, ale żeby tam się kłócili z Polakami, to nie. Byli i wykształceni i przy biurkach siedzieli w „Pionierze”. Niektórzy, ci [co przyjechali] mówili: „To tymczasowo siedzimy tutaj, bo Niemcy przyjdą, nas wszystkich wyrzucą”. Żydzi, którzy zostali, bardzo się bali Niemców, więc do Polaków więcej lgnęli. A że byli bogatsi, mądrzejsi, to zawsze mieli, bo to Geschäft robili, bo to do handlu byli bardzo zdolni, także mieli dobrze. To, co ja wiem, w „Pionierze” przecież to żydowskie wszystko było. Dyrektorem był też Żyd. Tu pracowali, wiedzieli, że Żydzi są, ale tak żeby się wyróżniali, tak nie było. Oni mieli tylko kirkut, ten swój cmentarz, nie wiem, jak on wyglądał. Chociaż ja tam mieszkalam na [ul.] Bohaterów Getta, to ja tam nigdy nie chodziłam, bo się bałam cmentarzy. Kiedyś tam szłam, bo tam mieszkali Biernaccy, on był lekarzem, to tak zaglądałam: „Popatrz się tu żydowski cmentarz jest”, ale dzieci tam chodziły i niszczyły wszystko, jak to dzieci. Tam kamyczki na grobach, jedni wiedzieli co to znaczy kamyczek [na macewie], drudzy nie wiedzieli. Tak, ludzie byli, są i będą religijni mądrzy i głupi religijni, to różnie. Jak człowiek jest człowiekiem, to będzie czy to Żyd, czy Polak, czy Ukrainiec czy Ruski, to będzie zawsze człowiekiem, bo ja tyle ludzi przeżyłam i z ludźmi miałam do czynienia, że ja już po twarzy umiem odróżnić.

W latach sześćdziesiątych była taka seria takich wyskoków we Wrocławiu⁸¹. Studenci się bili i tam potem wszyscy Żydzi powyjeżdżali do Izraela, lekarze, żony lekarzy, sympatyczni. Elita, ludzie wykształceni albo adwokaci. To nie tak, że Żyd to szewc, robotnik, byli tacy, co szyli, ale pamiętam, że szyli coś tam, przerabiali, ale raczej każdego adwokata to był Żyd, każdego lekarza to był Żyd. Śpiewaczka – Żydówka, cały Lwów przyjechał, Lwów żydowski przyjechał do Wrocławia. Ja nie miałam kontaktu z takimi starszymi ludźmi Żydami, mój mąż pracował w „Pionierze” jako inspektor to on

⁸⁰ Spółdzielnia „Pionier” – producent technicznych wyrobów gumowych.

⁸¹ Na temat wydarzeń z marca 1968 r. zob. J. Eisler, *Marzec 1968. Geneza, przebieg, konsekwencje*, Warszawa 1991; W. Suleja, *Dolnośląski Marzec '68: anatomia protestu*, Warszawa 2006.

pracował z nimi, bardzo sympatyczni ludzie byli i rozmawiali i jeden drugiemu pomagał. Tu był taki żydowski zakład, mój mąż pracował przy architekturze tam robił. Różne projekty, rysunki im robił, to on przecież nigdy nie narzekał i dyrektorzy byli żydowscy. Ale byli też tacy, którzy należeli do UB⁸² i ich nie lubili, chcieli ich do partii⁸³. Ludzie tacy zwykli, każdy prawie musiał należeć [do partii komunistycznej]. Mnie proponowali, żebym należała do partii, jak ja zaczęłam pracę w bibliotece, na rynku jeszcze była biblioteka. Oni: „Weź zapisz się będziesz miała dobrze, wszystko załatwisz”. Ja mówię: „Do partii nigdy nie należałam, u mnie w domu nikt nie należał, to po co będę karierę robić. Ja i tak nie zrobię [kariery], bo ja się o to nie staram”. Później mnie to zostało zapisane i jak moja koleżanka zmarła, była dyrektorką [biblioteki], a ja byłam tylko kierowniczką oddziału, miałam pójść na jej miejsce jako stary pracownik, [oni] napisali „nie nasza” i już skończyło się.

Przepracowałam bardzo długo, 48 lat przepracowałam, ale za zasługi pełno mi dawali dyplomów, że ja się dziwię. Ja ich na oczy nie widziałam, wojewody, burmistrz, nie widziałam, kto to jest, a mnie przysyłali dyplomy. Ze szkołami pracowałam. Ale jeździłam po wsiach, z ludźmi rozmawiałam, jeździłam do szkół. Zresztą u nas była taka praktyka, że do szkół trzeba było przekazać dzieciom historię, do Legnicy. Była taka tendencja, że i do teraz jest, że trzeba dzieciom przekazywać historię. A ja nie chciałam swoim dzieciom [jej przekazać]. Nie chciałam, zawsze mówiłam: „Ja przeżyłam, wy nie musicie, daj wam boże, żebyście nigdy nie przeżyli”. Ja się czuję Polką patriotką, bo tam nas uczyli patriotyzmu, w Rosji nauczyłam się tego patriotyzmu, bo przed wojną w szkole uczyli, że Polska, że „Kto Ty jesteś – Polak mały, jaki znak twój – orzeł biały...”. To dzieci moje, wnuki i prawnuki umieją to wszystko, ale człowiek nie zdawał sobie sprawy, a dopiero w Rosji to miało siłę. Ci [starsi ludzie] nas tam uczyli polskiego: „Nie wolno nic oddawać ruskim, nie wolno nic od nich brać, nie wolno”.

Uczyłam się i potem jeździłam do Legnicy, do szkoły, do Wrocławia. Nam tłumaczyli na Syberii, że trzeba się uczyć, „Uczcie się”. „A bo to ruskie,

⁸² UB – powszechnie używane określenie organów bezpieczeństwa państwa funkcjonujących w Polsce w okresie stalinizmu (1944–1956). Nazwa pochodzi od jednostek terenowych Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego.

⁸³ Polska Zjednoczona Partia Robotnicza (PZPR) – partia komunistyczna, założona w grudniu 1948 r., na skutek połączenia Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej, sprawująca rządy w Polsce w latach 1948–1989.

na co to nam? A co my się będziemy uczyć?”. „Nie... ruskie, polskie, niemieckie, angielskie, każdy język musicie się uczyć, bo to się w życiu przyda!”. Przecież myśmy się angielskiego uczyli, tylko nie tak naprawdę, tylko: „A tam angielski, gdzie ja będę w Anglii?”. I do dziś dnia tam parę słów znam, a trzeba było się uczyć, dziś bym znała angielski. Ukraińskiego uczyliśmy się. Tam ukraiński był też. Te piosenki wszystkie ukraińskie znam.

Ja się cieszyłam, że jestem w mieście, że jestem w Polsce, że uczę się polskiego, że mogę sobie pójść do szkoły, że mogę coś jeszcze z siebie dać moim dzieciom, że nie będę takim popychadłem, jak ja to mówiłam: „Tam, przynieś, wynieś, pozamiataj”. Człowiek miał tę ambicję trochę. Jawor bardzo lubiłam, Jawor był bardzo ładny i nie było tak dużo ludzi. Tylko byli jeszcze ci Niemcy i było dużo ruskich. Ale ja z nimi nie miałam do czynienia, bo to był wstyd, żeby się z ruskim zadawać. Nie pozwolili ludzie obok, jak ten rozmawiał, o mówili: „O ruski sprzedawczyk, pracuje dla ruskich”. Była jakaś taka presja. To było negatywnie, ale nigdy nie powiedzieli mi: „Chodź z nami” tylko „Ty ruska chodź! ruska ty masz jabłko, ty nigdy nie jadłaś!” Bo to słyszeli, jak przychodzili do nas, to mówiła mama: „Jedź”, jak to mama, a dzieci wiedzą, o co chodzi.

Ja nie wiem, czy ci Polacy, co byli z centrali w trakcie wojny, jak oni ją przeżyli. Później jak ja już byłam w Sybirakach, to już dużo znałam ludzi, podobnych jak ja. 34 wioski naokoło, cały powiat jaworski, wszystkich Sybiraków znałam, pomagałam jak tylko mogłam. Starszych ludzi tak trochę, tu miałam taką babcię, miała 100 lat. Chodziłam do niej, a miałam donośny głos, bo w szkole pracowałam, musiałam trochę głośniej mówić, w bibliotece to też musiałam na spotkania z pisarzami, z ludźmi, to musiałam się trochę wysilać. To jak ja wchodziłam do jej domu, ona mówi: „Mój boże, ta pani co tak ładnie mówi”. Ja sobie myślę: „Boże kochany, jak ja ładnie mówię?” A ona mnie po głosie [poznawała], ona nie widziała, a leżała 5 lat w łóżku, już była sparaliżowana. I dlatego ja tu wszystkich znam naokoło, wszystkich Sybiraków, bo ja mam całą dokumentację.

Po wojnie to ludzie niektórzy nie umieli podpisać się. Ja uczyłam ich i wiem, to trzeba było każdą literę wytłumaczyć, jak się czyta. To moje wszystkie dyplomy, za krzewienie kultury, a tu mam taki dyplom honorowy za zasługi w rozwoju społecznego uczestnictwa w kulturze. Ja bardzo się starałam być człowiekiem i coś z siebie dać, bo mówię to jest mój obowiązek i uważam, że jestem patriotką, bo chciałam, żeby wszyscy wiedzieli, żeby umieli. Dzieci uczyłam w szkole, boże, ile ja dla nich poświęcałam się. Dla domu nigdy nie miałam czasu. Bo ludzie niewykształceni byli [po wojnie]. Mówili na

przykład, że jak położyli to linoleum: „To jest goły leon”, nie mówili „linoleum”, tylko „goły leon” mówili. No przecież nie było ubikacji wcześniej, w ubikacji śledzie mieli, moczyli [je].

Tu mieszkał Niemiec, złotnik. Robił pierścionki i obrączki, tu pod progiem tam było wykopane, jeszcze męża siostra tu mieszkała i znalazła. W takiej kasetce było to złoto, a tam po drugiej stronie mieszkała jej koleżanka. Tutaj przysła i mówi: „Weź Marysiu zobacz – tutaj pełno złota”. I wzięły otworzyły, mówi: „Weź sobie parę pierścionków, to schowamy i będą”. Była u teściowej i nie chciała pokazać, że rozdaje te złoto nieswoje. Tu Witkowie mieszkali, Darwicz mieszkał, tu takie mądre ludzie, Warszawiaki jak to mówią. Przyjechali pierwsi i ona handlowała. Jeździła po wsiach, zbierała na przykład pierzyny i na strychu trzepała pierze, przewietrzyła i woziła to do Warszawy, kupowała nowe wsypy i woziła do Warszawy.

Pierwszą bibliotekę to Pan Pociąg prowadził, tu gdzie teraz jest ten sklep z mięsem⁸⁴.

Zbieraliśmy książki tak, każdy kto chciał się zapisać, nie płacił tylko dawał książkę. Z domu to mój teść takie kufry przywozili książek, połowa książek była na strychu, leżały ze Lwowa, gazety różne oni też przywieźli. Mówił: „Zamiast sól, bo było ciężko z solą, to książki wzięliśmy”. Książek przecież nie było, to przywiózł całą taką skrzynię książek i wszystko oddał do biblioteki, bo już później, bo był wojskowym, to te wszystkie gazety, np. „Wiarus” taka była gazeta wojskowa, to gazety oddawał. Myśmy [w bibliotece] brali, my z chęcią braliśmy, bo tu ludzie chętnie oddawali. Prowadziłam kursy dobrego czytania, ludzie przyjeżdżali, podpisać się nie umieli, więc prowadziliśmy z koleżanką, jeszcze jak tu była na [ul. Marcelego] Nowotki, to prowadziliśmy kursy nawet ta cała elita była z nami, bo nie umieli się nawet dobrze podpisać, nie umieli czytać. Nawet dostawaliśmy [książki] takie z literami dużymi dla babć, żeby przez te okulary mogły czytać. Uczyliśmy młodzież czytać dobrze, pracowałam w szkole, np. w 10 klasie nie umieli przeczytać dobrze, odcinek jakiś lektury. Przed wojną, jak miał 3 klasy szkoły, to było coś, a [niektórzy] nie mieli szkoły tak jak wszyscy, nie było obowiązku. [Po wojnie] wszyscy lecieli do szkoły, zapisywali się,

⁸⁴ Miejska biblioteka publiczna na pl. Seniora 4, natomiast pierwsza wypożyczalnia polskich książek została założona w czerwcu 1947 r. w jednym z pomieszczeń ratusza. Zaczątek księgozbioru stanowił dar Polonii amerykańskiej w postaci 148 książek i darów od czytelników. Zob. J. Rybotycki, *op. cit.*, t. II, s. 9.

szkoły kończyli szybko i do gimnazjum, żeby tylko [mieć wykształcenie]. Bo to wojenne, to nic, w czasie wojny jakieś takie komplety mieli. Wtedy nie było telewizorów, nie było radia i niczego, więc młodzież garnęła się do nauki. Zawsze matka mówiła: „Nie będziesz się uczyła, nie będziesz, to miotłę ci dadzą i pójdiesz ulice zamiatać”. Człowiek się bał tego i musiał się uczyć. Jedni trochę lepiej, inni trochę gorzej [się uczyli]. Bardzo lubiłam właśnie tego profesora Serafina. Serafinowa to była nauczycielka z gimnazjum, a uczyła u nas w naszej szkole⁸⁵. Ja im bawiłam dzieci, ona mnie prywatnie uczyła i ja ją bardzo lubiłam, teraz już nie żyje. Ona mnie wprowadziła w ten świat kultury, bo nie tylko powiedziała mi, że tutaj trzeba akcent przycisnąć, ale też mówiła: „Pamiętaj dziecko, że to, co się nauczysz, to będziesz wiedziała. To jest twoje złoto, bo całe życie będziesz się tym posługiwała, wiesz jak ludzie wykształceni, to zawsze wiedzą, o co chodzi, a jak ktoś nie chce się uczyć, to trudno”. Oni chyba z Warszawy byli. On był chemik, a ona była właśnie nauczycielką historii i języka polskiego. Bardzo dobrą nauczycielką, ja to jej nie zapomnę. Ja się uczyłam od ludzi starszych, bo mnie tak kiedyś powiedzieli, że to mądrość jest.

Były też potańcówki. Tam się szło z chłopakami i dziewczynami na jakieś tam potańcówki, mama mówiła: „Dziecko, po co ci to? Z tego chleba nie ma? Ucz się, ucz się, pamiętaj, masz trochę tej ruskiej szkoły, będziesz umiała. Zobaczysz będzie ci lżej w życiu”. Faktycznie i zawsze miałam takich ludzi, którzy mnie naprowadzali i ja zawsze to przyjmowałam. [Myślałam]: ta starsza pani przeżyła swoje, ona wie jak sobie życie ułożyć. Ona wie i uczyłam się od niej, a kiedyś swoje dzieci też będę musiała uczyć. Zawsze coś dla siebie brałam, koleżanek bardzo dużo miałam. Przecież ja pracowałam w szkole, cała kadra nauczycielska i lekarze i wszystko wykształcone. Człowiek był wśród ludzi, nie był tam z taką hołotą i co, jak to się mówią, rzucają błotem. Ale ja zawsze uważałam, że od ludzi starszych, którzy wiedzą, którzy coś mają w życiu do powiedzenia i nauczania, trzeba zawsze słuchać. Teść zawsze nam opowiadał, jak było w wojsku, jak było przed wojną. Ojca nie miałam, to

⁸⁵ 11 II 1946 r. otwarto Prywatne Gimnazjum i Liceum Miejskie Koedukacyjne. Organizatorem i pierwszym dyrektorem był Jan Juchniewicz. We wrześniu tego roku szkoła została upaństwowiona i zmieniła nazwę na Państwowe Gimnazjum (I Liceum Ogólnokształcące) Zasadniczej Szkoły Zawodowej. Zob. P. Pacak, *Kalendarium historii Jawora* – http://gciit.jawor.pl/GCIT%20ROOT/kalendarium_historii_miasta.pdf (dostęp: 4 IX 2012 r.).

musiałam z teściem rozmawiać. Teściową to tylko gotowanie obchodziło, żebym umiała chleb pokroić, jakoś tam makaron zrobić i uczyła mnie gotowania, a teść to taki był wykształcony. Na wszystkich instrumentach grał, myśmy nieraz jeździli z teściem, bo on tutaj później jak przyjechał, to grał w domu kultury w orkiestrze.

Za mojej młodości, jak chodziłam do szkoły, umawialiśmy się [z koleżankami] tam, gdzie był dom kultury, gdzie jest ten „Polo⁸⁶”, tam był dom kultury i tam była biblioteka i myśmy tam pracowały. Zbieraliśmy się, a tam naprzeciw policji, robili taką podłogę i zawsze były jakieś zabawy, w domu kultury były zabawy. Czasami biblioteka robiła. Tak wszystko było piękne, Sylwestry jakie piękne były tego, później w tym domu, gdzie było SD – Stronnictwo Demokratyczne, tam na Kościuszki, w każdej restauracji były piękne zabawy, dawna muzyka, wszystkie tanga, wszystkie walce. Polska muzyka, bo to wszystko miało przedwojenne wykształcenia, oni grali takie różne piosenki dopiero gdzieś później, jak już byłam mężatką, dziecko miałam, to już twist taki też był, takie [tańce] na palcach. Tam, gdzie apteka [jest, to] była świetlica fabryki pieców⁸⁷, każdy zakład miał swoje świetlice. Zbierali się wszyscy razem, pracowali razem, razem się bawili, było tak swojsko.

W Jaworze pamiętam, jak była rozprawa, gdy Bykowskiego zabili⁸⁸, ja byłam w sądzie [wtedy]. W teatrze to było, młody chłopiec i taki oficer polski. On był w jakimś Komitecie, sprawy wojskowe jakieś i partyzanci tutaj. To ja tak bardzo, nie wiem jak było, ale byłam na tej sprawie i chłopak z Paszowic był młody, dwadzieścia parę lat. Oficer namówił tego chłopaka, ten poszedł pod dom, jak ten wychodził, zastrzelił tego Bykowskiego. Chcieli

⁸⁶ Budynek dawnego kina na ul. Armii Krajowej [dawna ul. Świerczewskiego] 25 w Jaworze.

⁸⁷ Była to świetlica na rogu ul. Armii Krajowej [dawna ul. Świerczewskiego] i ul. Piastowskiej, Fabryka pieców blaszanych w Jaworze rozpoczęła działalność od października 1945 r., w miejscu przedwojennej fabryki Paula Friedricha. Zob. http://gcit.jawor.pl/GCIT%20ROOT/kalendarium_historii_miasta.pdf (dostęp: 4 IX 2012 r.).

⁸⁸ Następcą Jana Czarneckiego pierwszego pełnomocnika obwodu rządu na powiat jaworski został 31 grudnia 1945 r. Adam Bystry-Bykowski, członek PPR, 31 maja 1946 r. został zamordowany przed swoim domem. Morderstwa mieli dokonać ludzie związani z organizacjami niepodległościowymi, w oskarżeniu określani mianem reakcjonistów. Wojskowy Sąd Okręgowy we Wrocławiu na sesji wyjazdowej w Jaworze dnia 13 grudnia 1946 r. skazał Czesława Warankę i Jana Kruka na kary śmierci. Zob. J. Rybotycki, *op. cit.*, t. I, s. 116.

się go pozbyć, on był w starostwie i zlikwidowali go. Chłopak dostał karę śmierci, już nie żyje. Ale były takie walki polskie polityczne. Chłopy ze wsi, to brązowe wojsko, ci partyzanci oni się jednak nie umieli uspokoić, zaraz po wojnie. Kto się tutaj osiedlił, ci ze Wschodu podostawali gospodarstwa niemieckie, też mój teść tutaj dostał za lwowskie majątki, dostał w Muchowie duże gospodarstwo. Tak to było, mieszanina straszna była, byli Niemcy, Ruscy, Ukraińcy.

Męża poznałam, jak pracowałam już w bibliotece, to on przychodził, czytał, przynosił książki. Kiedyś przyszła [jego] siostra, mówi: „Musiałam przyjść zobaczyć, co to za ładna dziewczyna”. Ja miałam takie długie loki. „Co to za dziewczyna, ten mój brat tylko lata po te książki”. [On] się zakochał i przyszła, mówi [mi to]. Ja się zawstydziałam. Mówię: „Nie, przychodzi, czyta gazety i chłopak umie się zachować, więc przecież nie jest taki znów...”, ale jeszcze nie myślałam o ślubie, a ślub wzięłam. Z miłości tak, ale mąż był, przede wszystkim co mnie wzięło... Bardzo czyste ręce miał. Przychodził do biblioteki, bardzo czyste ręce, miał paznokcie czyste, koszulka niebieska, ładnie ubrany, ja patrzyłam to tak jak na widowisko. Bo to tak nieraz przyszedł [jakiś] ubrudzony, tymi smarami śmierdzący. Napatrzyłam się [na takich] i sobie myślę: „Ale czysty chłopak, fajny”. Jak chce, to niech sobie czyta te gazety. On przychodził, nie czytał, siadał, patrzył na mnie, początkowo mi [się] to nie bardzo podobało, nawet nie zwracałam uwagi. Ale jak ona przyszła i powiedziała, to ja mówię, kurcze trzeba uważać. On przyszedł raz, drugi. On też się uczył w Żarnowie w szkole i przyjeżdżał. Później pojechałam na taki występ ze szkoły, jeszcze do szkoły chodziłam i pracowałam już. Występ był w domu kultury i [on] przyszedł na występ. I ja tak stałam i on stał na drugim końcu sali i cały czas na mnie patrzył, ja czułam jak patrzy, przecież to człowiek widzi, umie obserwować. My wychodzimy całą grandą, a on podchodzi: „Można odprowadzić?” Ja mówię: „Tak, można”. „A gdzie Pani mieszka?” To nie było od razu na ty, „Gdzie Pani mieszka”. Ja mówię: „W Paszowicach”. Chcesz odprowadzać, będziesz odprowadzał. Do połowy Paszowic odprowadził mnie, wreszcie mówi: „Chyba Pani tu nie mieszka, Pani jest z Jawora”. „Ale gdy tak ładnie jest można się przejść, z takim ładnym chłopakiem, można się przejść taki kawałek...”. I przyszłam pod dom, drzwi zamknięte, to już było późno, jakaś 10 godzina, u nas 8 godzina, to musiałam być w domu, mama nie pozwalała nam [wychodzić tam późno]. Stoję, gadamy tam siusiu trusiu, on mówi: „Wie Pani co, ja się tak nazywam”. Ja mówię: „Ja znam Pana”. Początkowo „na Pan”, „na Pan”, a później mówi: „No zobaczymy, mój tato tu przyjdzie”.

Myślę: „A po co mnie jego tato?”. A tato przyszedł i mówi: „Słuchaj no moja panno, mój syn się w Tobie zakochał i chce się z Tobą ożenić”. Nie on [przyszedł], on nie miał odwagi. „Ale ja nie mam jeszcze tyle lat, nie jestem pełnoletnia jeszcze, kończę szkołę, ja nie mam czasu...”. „To nic”. Poszedł moją mamę namówił, dziadek Mrówczyński, poszedł, poszli do sądu, załatwili mi pozwolenia. Wzięli mnie z pracy. Poszliśmy z pracy do urzędu stanu cywilnego, wzięłam ślub. Ja taki cywilny ślub chciałam, przychodzę, mówię: „Dziewczyny, wzięłam ślub!” A one: „Głupia, zwariowałaś!”. Nie zwariowałam, ale wzięłam ślub, zakochany niech ma, głupi. Jaką żoną będę, nie wiedziałam. Ja nie umiałam nic, ani gotować, ani prac, kto mnie miał nauczyć? Z Rosji przyjechałam głupia jeszcze. Później przyszedliśmy tutaj i tutaj całe towarzystwo siedzi, cała jego rodzina, ojciec, matka, siostra, szwagier, tutaj sąsiadki, a on mówi: „Mamo, przyprowadziłem żonę”. Ja goła i bosa, nic tutaj też nie ma, puste mieszkanie. Puste było mieszkanie, my nie mieliśmy nic, bo jego rodzina mieszkała w Muchowie, tam mieli to gospodarstwo, za to mienie ze Wschodu. Ale poszedł na strych, wziął dwa krzesła, siatkę poniemiecką rozłożył, położył jakieś pierzyny i mówi: „To będą nasze meble”. Przyszła do mnie koleżanka z pracy, patrzyła się, na drugi dzień mówi: „Irka, ty zwariowałaś, ty naprawdę wyszłaś za męża, co ty na tych krzesłach?”. Wchodzi on: „Proszę wyjść”. Wyprosił ją: „Proszę mi nie buntować żony”. Wyszła i mówi: „Głupi jest, co on w Tobie widział, że tak wariuje”. A później do pracy i prędko do kościoła na ślub kościelny, no i zgodziłam się. Ładny chłopak, grzeczny. Ślub w miejskim kościele naszym, w [św.] Marcynie, jeszcze ze szkoły ksiądz mi dawał ślub. Ale ja nie zdawałam sobie sprawy, że ja biorę ślub, że ja mam jakieś obowiązki. Myślę sobie: „A teściowa będzie, cała rodzina”. Przychodzę, patrzę, nikogo nie ma: „A gdzie Marysia?”. „Marysia została w mieszkaniu, wyprowadziła się, wszystko zostawiła”. Już sama, nic nie umie zrobić, poszłam do mamy, mama gotowała, czasami poszliśmy coś zjeść. Zrobiłam szkołę, później pojechałam do Wrocławia, skończyłam studia bibliotekarskie, poszłam do pracy do biblioteki i 48 lat pracowałam w bibliotece. 6 lat pracowałam w ogólniaku, w bibliotece i poszłam sobie w świat i już sobie w 1950 r. wyszłam za męża. Przeżyliśmy 50 lat, ani kłótni, ani awantury, ani pijak, ani łajdak. Dzieci kochał, woził nas wszędzie po całej Polsce. Życie mi się ułożyło.

In the latter half of 1941, over 100,000 Polish children lived in an area extending from Arkhangelsk to Nakhodka Bay; in the Altai Krai and the Soviet Socialist Republics of Central Asia. Among them there were a growing number of orphans in exile. There is no detailed information concerning the fate of these Polish orphans, who were placed into Soviet instructional and educational institutions, so-called “diet domy”. Most of the institutions taking in Polish children treated them as Soviet citizens but did not report this fact to any Polish institutions responsible for their care and wellbeing. Moreover, given their ‘Soviet’ status, the orphans had neither the right nor the occasion to contact the Polish embassy in Kujbiszew or any of its representatives. And for the younger children, their stay in these so-called “diet domy” usually resulted in instant Russification and Sovietisation. Irena Mrówczyńska’s account describes her childhood memories of pre-war Kowel, the children in exile in Siberia who were taken from summer camps in June 1941 and about post-war times in Jawor, a small town in Lower Silesia. Her story is exceptional because she grew up in exile. She was taken from school without her parents’ consent, put into the Soviet “diet dom” in Bojarka along with other children, before later being sent to the Polish Orphanage and Disabled People’s Home in Bolszoi Konstantinowce, where she spent 6 years. A twist of fate enabled her to contact the Polish embassy in Kujbiszew and report that there were other children in the Polish Orphanage and Disabled People’s Home that had also been “taken” from the summer camps in 1941. This account describes how traumatic the “kidnapping of children from the summer camps” was, resulting in the then 10-year-old girl being sent to the Soviet children’s home and the subsequent indoctrination of Sovietisation that thereafter influenced the rest of her life.

*Irena Mrówczyńska,
From Kowel, through
Siberia to Lower
Silesia... growing up
in exile*

**Edited by
Marcelina
Jakimowicz**